L. WŁODEK

Na ziemi WASZYNGTONA

Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:		Z PRZES. POCZT.:	
Rocznie (52 tomy)	rb. 10	Rocznie (52 tomy)	rb. 12
Półrocz. (26 tom.)	„ 5	Półrocz. (26 tom.)	„ 6
Kwartal. (13 tom.)	„ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.)	„ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.			

Cena każdego tomu 40 kop., w oprawie 55 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR: **ZDZISŁAW DĘBICKI.**

WYDAWCA: **KAZIMIERA GADOMSKA.**

Redakcya i Administracya: Warszawa, Sienna 2, we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

FILIA W ŁODZI:
Maryan Fuks, właściciel kantoru łódzkiego „Świata”,
Zachodnia 28 róg Konstantynowskiej.

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70. Tel. 27-73.

LUDWIK WŁODEK.

Na ziemi Waszyngtona

Wrażenia z podróży. —
Szkice amerykańskie. —
Polacy w Ameryce.

TOM I.

Cena 55 kop.
W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya Sienna № 2, (Dom Towarzystwa Rosya). Telefon 114.30.

WYCIĄG Z KATALOGU

„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH".

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH" (Warszawa, Sienna Nr. 2) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1909.

Tom.		CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
569, 570.	**A. Gruszecki.** ZALOTY BIUROKRATY. Powieść 2 tomy	1.10	50
571.	**J. Andruszewski.** NASTROJE 1 tom	55	40
572.	**Wł. Jagniątkowski.** KARTKI Z PODRÓŻY PO INDO-CHINACH 1 tom	55	40
573.	**M. Raczyńska.** MOIZES. Powieść 1 tom	55	40
574.	**Z. Sokołowska.** SYCYLIA I KALABRIA. Podróż 1 tom	55	40
575, 576.	**Wiktor Gomulicki.** ON I ONA. Powieść 2 tomy	1.10	80
577.	**Papus.** WIEDZA MAGOW 1 tom	80	40
578, 579.	**Z. Ćwirko.** PO SZCZĘŚCIE. Kartka z pamiętnika 2 tomy	1.10	80
580.	**Emil Reych.** NIEMCY WSPÓŁCZESNE 1 tom	55	40
581, 582.	**Abgar-Soltan.** POLUBOWNA UGODA. Powieść 2 tomy	1.10	80
583.	**J. Bourdeau.** KIEROWNICY MYŚLI WSPOŁCZESNEJ 1 tom	55	40
584.	**Robert-Louis Stevenson.** DZIWNA HISTORYA D-ra JEKYLL'A i M-ra HYDE'A 1 t.	55	40
585.	**Gryf.** NA PRZEŁOMIE 1 tom	55	40
586.	**M. Arcybaszew.** ŚMIERC LAUDEGO 1 tom	55	40
587.	NAPOLEON NA WYSPIE Św. HELENY. Pamiętnik hr. Balmain'a. Przełożył Maciej Wierzbiński 1 tom	55	40
588, 589.	**M. Czerny.** ZA CO? Powieść 2 tomy	1.10	80
590.	**L. Paul-Dubois.** IRLANDYA WSPÓŁCZESNA I KWESTYA IRLANDZKA 1 tom	55	40
591.	**W. Lutosławski.** JAK TANIO PODRÓŻOWAĆ?—Wędrówki iberyjskie 1 tom	55	40
592.	**Władysław Renard.** ONE 1 tom	55	40
593, 594.	**Lafcadio Hearn.** LOTOS 2 tomy	1.10	80

KATALOG „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH"

z lat 1906, 1907 i 1908.

Cena pojedynczego tomu 25 kop. brosz. i 40 kop. oprawa.

POWIEŚCI.

Berta bar. Suttner. DZIECI MARTY, 2 t.
Z. Morawska. ZMIERZCH I SWIT, 3 t.
Antoni Gawiński. SEN ZYCIA, 1 t.
T. Jeske-Choiński. MAŁZENSTWO JAKICH WIELE, 1 t.
Faustyna Morzycka. Z DNIA WCZORAJSZEGO, 2 t.
Marion. PAMIĘTNIK, 1 t.
Zofia Casanowa (Lutosławska). DOKTÓR WOLSKI, 2 t.
E. L. Voynich. OLIVIA LATHAM, 2 t.
Wiktor Gomulicki. CIURY, 3 t.
Kazimierz Gliński. CO MÓWIĄ LASY LITEWSKIE, 1 t.
Eliza Orzeszkowa. ISKRY, 2 t.
Marya Rodziewiczówna. ANIMA VILIS, 2 t.
Wincenty Kosiakiewicz. ŻYWE OBRAZKI, 1 t.
Stan. Ostrowski. A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA, 1 t.
Artur Schnitzler. ŚMIERC, 1 t.
Tadeusz Rittner. NOWELE, 1 t.
Alexandra Suszczyńska. INACZEJ, nowele, 1 t.
Teodor Dostojewski. BIESY, 8 t.
Maurice Leblanc. WYTWORNY WŁAMYWACZ, 2 t.
Eliza Orzeszkowa. WIDMA, 1 t.
Teod. Tom. Jeż. ZARNICA, powieść bułgarska, 3 t.
Józef Conrad (Korzeniowski). TAJNY AGENT, 2 t.
Marceli Prévost. LISTY DO FRANCISZKI ZAMĘŻNEJ, 2 t.
Jarosław Mikulicz. KROLEWIENKA, 1 t.
Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI, 3 t.
OPOWIADANIA CZECHOWA, 2 t.
Jerome Jerome. WŁOCZĘGA W TRÓJKĘ, 1 t.
Maurycy Barrès. POD PIKIELHAUBĄ, 1 t.
Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI, 2 t.
A. Kuprin. POJEDYNEK, 2 t.
Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM, 1 t.
Jerzy Rodenbach. DZWONNIK, 2 t.
Grazia Deledda. POPIOŁ, 2 t.
Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI, 1 t.
Henry Murger. SCENY Z ZYCIA CYGANERYI, 3 t.
E. Czirikow. NOWELE, 1 t.
Juliusz Zeyer. WIECZÓR U IDALII, 1 t.
Johan Bojer. MOC OPINII, powieść, 2 t.
Marion. MIRAZE, 3 t.
Conan Doyle. CZTEREJ, 1.
Tadeusz Jaroszyński. DWIE NOWELE, 1 t.
Conan Doyle. Z PRZYGOD SHERLOCKA HOLMESA, 1 t.
Hermann Heijermans. W PRZESTRZENI, humoreska, 1 t.
Upton Sinclair. TRZĘSAWISKO, 4 t.
W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, 1 t.
Herman Heijermans. MIASTO DYAMENTOW, 2 t.

Historya, Pamiętniki, Opowiadania historyczne i Podania ludowe.

Juliusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE, 2 t.
DRUGI ROZBIOR POLSKI. Z pamiętników Sieversa, 3 t.
NEWROZA REWOLUCYJNA, w. D-rów Cabanès i L. Nassa, 1 t.
Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA, 1 t.
Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH, 10 tomów.
J. Scherr. Z KRWAWYCH DNI (komuna paryzka), 1 t.
PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisł. Augusta, 3 t.
Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r., 1 t.
Jerzy Kennan. SYBERYA, 4 t.
Pamiętniki Kasztelana Narcyza Olizara. Rok 1831. 2 t.
Paulina Wilkońska. MOJE WSPOMNIENIA, 3 t.
Bonawentura z Kochanowa. WINCENTY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SYNOW, 3 t.
Kajetan Koźmian. PAMIĘTNIKI, 6 t.
Juljusz Falkowski. WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, 3 t.
Aleksander L. Kielland. NAPOLEON I JEGO LUDZIE, 2 t.
Eugeniusz Checchi. GARIBALDI, 2 t.
Jędrzej Śniadecki. PISMA SATYRYCZNE, 3 t.
Louis E. Van Norman. POLSKA JAKO RYCERZ WŚRÓD NARODOW, 1 t.

Opisy, Podróże i Studya popularno-naukowe.

Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SYNÓW, 1 t.
Jerzy Grosjean. SZKOŁA I OJCZYZNA, 1 t.
Ludwik Włodek. NA POŁNOCY I NA POŁUDNIU, 1 t.
T. Grużewski (S. Topór). PANSTWOWOŚC ROSYJSKA, 1 t.
A. Kolb JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, 1 t.
Jan Błeczyński. MAROKKO, 1 t.
W Gomulicki. OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE, 1 t.
Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE, 1 t.
Willa Zyndram-Kościałkowska. SZKICE LITERACKIE, 2 t.
G. Sarrazin. WIELCY POECI ROMANTYCZNI POLSKI, 2 t.
Ryszard Jefferies. HISTORYA MOJEGO SERCA, 1 t.

PRZEDMOWA.

Na jesieni r. 1896 *Tygodnik Ilustrowany* i *Goniec Poranny i Wieczorny* delegowały mnie do Ameryki, dokąd udałem się, jako towarzysz podróży ówczesnego posła ziemi warszawskiej, ks. rektora Jana Gralewskiego i d-ra Franciszka Kowalskiego.

Wyjechaliśmy z Hamburga d. 8 listopada, przybyliśmy do New-Yorku d. 17 listopada. Przez Worcester, Boston, Chicago, Milwaukee, Detroit, Buffalo, Washington, Baltimore, Philadelphię, zatoczyliśmy koło, zamknięte znowu w Nowym Yorku, skąd wyjechałem 12 stycznia 1907 r. Spędziłem więc na ziemi Waszyngtona niecałe dwa miesiące; objechałem pobieżnie tylko małą, wschodnią, najbardziej cywilizowaną część Stanów Zjednoczonych; ze względu na porę podróży o przyrodzie kraju nie mogę powiedzieć nic. Bezpretensyonalne wrażenia zewnętrzne, materyały i spostrzeżenia zebrane zużytkowałem w szeregu korespondencyi i artykułów, zamieszczanych w *Tygodniku*, *Myśli Polskiej* i *Gońcu*.

w pociągu pośpiesznym, który miał zawieźć nas do Hamburga.

O celu podróży najlepiej objaśni czytelnika rozmowa nasza w wagonie.

— Jak panu wiadomo—mówił ks. Gralewski— zakładamy szkołę wzorową „Ognisko wychowawcze”. Zanim ją puścimy w ruch, pragnę poznać wybitniejsze zakłady pedagogiczne amerykańskie. Angielskie szkoły już znam; pragnę zaś teraz przekonać się, jakiemi sposobami przeprowadzają pedagodzy cele wychowania praktycznego, uzdolniającego młodzież do walki o byt, a zarazem łączącego ją tak ściśle z życiem całej społeczności. W New-Yorku bawi obecnie cała ekspedycya pedagogów angielskich. Przyłączę się do nich o tyle, o ile nie będzie mi przeszkadzała w spełnieniu drugiego mego celu, którym jest odwiedzenie wybitniejszych osad polskich w Stanach Zjednoczonych.

— Na jak długo wybrał się ksiądz rektor za ocean?

— Zabawię sześć tygodni, do dwóch miesięcy...

Zatem i ja na tak długi czas wyjeżdżam. W głębi duszy jednak noszę zamiar pozostania dłużej, aby z pobytu w Ameryce jaknajwięcej skorzystać, jaknajwięcej się nauczyć.

*

*   *

...Hamburg. Gdyby zamiast „polska” istniało wyrażenie „gospodarka niemiecka”, jako synonim niedbalstwa, zastosowałbym je do kompanii prze-

wozowej hambursko-amerykańskiej. W wigilię odejścia statku na dworcu niema ani jednego agenta Towarzystwa; musimy sami ruszać do środka miasta, aby w biurze centralnem dopełnić różnych formalności i dowiedzieć się, że pociąg okrętowy wychodzi dopiero jutro. Dawniej kursowały specyalne bezpośrednie pociągi przewozowe wprost z Berlina. Dziś tracimy niepotrzebnie pół dnia czasu, pomnażamy koszty hotelu i utrzymania w Hamburgu. Zupełnie bezużytecznie, bo formalności trwają tak długo, że miasta obejrzeć niepodobna. Widzieliśmy tylko piękny ratusz, starą dzielnicę i mamy ogólne wrażenie miasta olbrzymiego, ładnego i bogatego.

Hotel drogi, za to bardzo lichy. Z westchnieniem wspominam swój miły, czysty pokoik w poznańskim Bazarze. Ale zarazem przyjemnie mi, że z porównania hotel polski wychodzi niezmiernie zwycięsko. Tak, tak... „polnische Wirtschaft" należy do przeszłości. Z dotychczasowego przebiegu wędrówki należałoby raczej narzekać na „deutsche Wirtschaft"...

*

*   *

Wydawało mi się, że port dla większych statków przewozowych, Cuxhaven jest odległy od Hamburga o kilkanaście minut drogi. Tymczasem pociąg pośpieszny zużywa na przebycie tej przestrzeni dwie i pół godziny czasu.

Tu już rozdzielamy się z towarzyszami podróży. Oni jadą klasą pierwszą, ja—drugą. Z Ham-

burga idą pociągi osobne, przyczem pasażerowie klasy pierwszej mają przywilej dłuższego o godzinę spania. My zaś, drugoklasiści, wyjechaliśmy dziś z Hamburga o 8-ej rano, z najdalszego dworca, za miastem już położonego. Znowu lekceważenie wygody pasażerów... „deutsche Wirtschaft"...

... Cuxhaven. W oddali piękne wille miejscowości kąpielowej. Niecierpliwie wyglądam morza, ktorego nie widać. Dopiero po przejściu olbrzymiej długości dworca stajemy nad brzegiem.

Przed oczyma horyzont bezkresny. Mgła — niebo i morze ołowiane. Ale spokojne, ledwie lekko marszczone musującemi falami. W oddali o dwa do trzech klm. we mgle stoi jakiś olbrzym. To — „Ameryka".

Tymczasem siadamy na brudny statek, wielkości tych, które kursują na Wiśle. Ostatni to już etap podróży przed pełnem morzem. Przepakowywanie rzeczy idzie szybko i bardzo sprawnie.

Przeraźliwy gwizd. Ruszamy. Z brzegu powiewają chustki, rozlegają się ostatnie okrzyki pożegnania. Wiele osób ma łzy w oczach. Tu i owdzie słychać szlochanie kobiety, lub dziecka. A dzieci i kobiet dużo.

Dojeżdżamy. Z pokładu „Ameryki" płyną dźwięki hucznego, wesołego marsza. Rozjaśniają się twarze. Niektórzy — ci co przed chwilą stali z ponuro zamyślonemi obliczami—teraz skaczą po mostku w takt marsza, wymachując rękami. Dodają sobie otuchy...

*

*   *

Widziana z morza „Ameryka" uderza raczej swą olbrzymią wysokością, aniżeli długością. Dopiero, kiedy w ciągu godziny z górą przeleciałem ją i obejrzałem zaledwie powierzchownie wzdłuż i wzwyż zaimponowała mi swoim ogromem.

Sześć pięter, czyli pokładów. Liczmy od góry: 1. Pokład słoneczny. Obejmuje górę fajczarni pierwszej klasy (idzie przez dwa piętra), pomieszczenia kapitana i oficerów, telegraf Marconiego. 2. Pokład cesarski: dół fajczarni pierwszej klasy, salon tejże, restauracyę Ritza, gdzie można się pożywić po za godzinami, wyznaczonemi na posiłki. 3. Pokład Washingtona: paradne, osobne kajuty I klasy (których cena dochodzi do 1,200 marek): damski salon klasy II. 4. Pokład Roosevelta, kajuty klasy I, fajczarnia kl. II, gdzie piszę te słowa. 5. Pokład Clevelanda: obie sale jadalne, kuchnie, kajuty klasy II; mieszkam w jednej z nich wespół z czterema pasażerami, nosi № 53. 6. Pokład Franklina: zwykłe, tańsze kajuty kl. I; tu ks. Gralewski z d-rem Kowalskim mają osobną kajutę dla siebie; zazdroszczę im tego; są jak w domu. Niżej, pod pokładami, pasażerowie klasy czwartej.

Wszystko to połączone systemami schodów różnych, których głównym celem — oddzielenie zupełne pasażerów klasy drugiej od pierwszej. Wczoraj ciągle błądziłem, a d-r Kowalski, po odnalezieniu mnie stracił pół godziny na to, aby trafić do siebie. Dla mnie chodziło głównie o to, aby módz się komunikować z towarzyszami podróży. Dziś już trudne przejście do klasy I znalazłem i błądzić nie będę.

Spacery główne na pokładach Roosevelta i Washingtona i innych. Pierwsza klasa znacznie uprzywilejowana co do miejsca — tam też spacerujemy.

Pasażerów pierwszej i drugiej klasy około 1,200 — czwartej około 1,500, służby pareset osób, widzicie więc, że jest to prawdziwie „pływające miasto". Długość statku 210,3 m. (tylko „Augusta Victoria" jest dłuższa o 35 m.) szerokość — 22,5, głębokość 16,13 m. Objętość w tonnach 22,500 tonn; siła motoru 15,800 koni parowych.

W klasie I jedzie dwóch Polaków, w kl. II kilkunastu.

Urządzenie salonów ogólnych jest rzeczywiście wspaniałe, zwłaszcza w klasie I. Wchodzi się tu do olbrzymiego „hallu" z oświetleniem górnem, bardzo piękną klatką schodową; salon ma meble w stylu Ludwika XV, kryte haftowaną materyą różową; damskie salony niebieskie i zielone; w obu fajczarniach meble skórą kryte i kwadratowe stoliki do kart. Kajuty — zależnie od klasy i kosztu; drugiej klasy strasznie ciasne; łóżka wygodne wszędzie.

Utrzymanie porządne, ale w stosunku do wykwintu, o którym tyle opowiadają, przereklamowane; odpowiada zupełnie hotelom szwajcarskim pierwszo - i drugorzędnym, zależnie od klas. O 8-ej rano śniadanie, na które nie można się spóźnić, bo się nic nie dostanie, o 12 i pół obiad, o 6 ej kolacya; To u nas. W I klasie o 12 i pół lunch, o 7 obiad, do którego wszyscy przywdziewają szaty balowe; przygrywa im muzyka.

*
* *

Między Southamptonem a Cherburgiem.
w kanale La Mancke.

Morze mamy dotychczas łaskawe, niezwykle łaskawe nawet. Fala zupełnie mała, taka, która zaledwie mogłaby się dać uczuć małej łódce, a nie takiemu olbrzymowi, jak nasz statek. To też uczuwamy tylko nieznaczne drżenie i to w gorszych, dalej od środka położonych częściach statku.

Nikt więc z pasażerów nie choruje; przy licznych stołach jadalni niema ani jednego pustego miejsca: najpewniejszy dowód zdrowia. Na pokładach wszystkich klas pełno, bo i pogoda łagodna, bynajmniej nie listopadowa, dopisuje doskonale; przechodzące od czasu do czasu drobne deszczyki nikomu nie przeszkadzają, bo pokłady są kryte. W chwili, kiedy piszę te słowa, o godzinie 8 wieczorem, z pokładu czwartej klasy dolatują tony cichych skrzypiec i harmonii: improwizowana orkiestra gra walca, a w takt wirują liczne pary. Pasażerowie klasy pierwszej i drugiej tworzą galeryę tego balu...

I u nas, w drugiej klasie ma być koncert amatorski za godzinę; w najwyższej codziennie bywają koncerty orkiestry miejscowej, przygrywającej wszystkim, gdy zbliżamy się lub odbijamy od portu. Cherbourg, gdzie będziemy za dwie godziny, kończy ich szereg. Od jutra, przez siedem dni, lądu już nie zobaczymy.

Tak więc życie schodzi na statku, spokojnie, dość wesoło i przypomina najwięcej życie letnisk i miejscowości kąpielowych: równie łatwo zawiera się znajomości, równie nieustannie myślą wszyscy

o swoich przyjemnościach. Dzień poczyna się rano, bo śniadanie podają o 8-ej, a kończy się w zasadzie dopiero o 1-ej w nocy, gdy gasną światła w salonach wspólnych, faktycznie znacznie wcześniej. Dla amatorów długiego siedzenia i atmosfery knajpiarskiej jest na statku osobna wykwintna restauracya Ritza i Carltona, ale dotychczas panują tam straszne pustki.

Kiedy przymusowi towarzysze podróży zejdą się wieczorem w swoich kabinach (w mojej mieszka pięć osób), stare „wilki morskie“, czyli ci, którzy przebyli już Atlantyk kilka razy, opowiadają takim, jak ja, nowicyuszom, straszne historye o długotrwałych burzach, rozbiciach statków i t. d. *Se non è vero...*

O tej samej „Ameryce“, na której jedziemy, słyszałem, że zniosła w r. z. straszną, bez przerwy przez dwa i pół dni trwającą, burzę. Bałwany przewalały się przez wszystkie pokłady, z wyjątkiem trzech najwyższych. Zamknięto hermetycznie wszystkie wejścia i wszystkie okna. Kabiny, zwykle miłe, stały się piekłem. Bez świeżego powietrza, znękani, schorowani, w atmosferze jęków i narzekań przepędzili pasażerowie te parę dni, które wydawały im się wiekami. Innym razem burza, wprawdzie mniejsza, trwała przez całe dziewięć dni, przez cały czas przejazdu. Słowem, mamy podobno niezwykłe szczęście; tem większe, że, jak twierdzi kapitan na zasadzie obserwacyi barometrycznych, taka pogoda ma trwać jeszcze dni kilka.

Ogarnia nas sceptycyzm. Może większość przepraw bywa tak spokojna, lecz te, jak uczciwe

kobiety, nie mają historyi? Może ci, co przebyli ocean, umyślnie przesadzają najmniejszy wiatr i fale, by pozować na bohaterów?

I—wyznam szczerze — jesteśmy nieco rozczarowani. Jesteśmy w położeniu tej starej mieszkanki fortecy, która po zdobyciu jej przez nieprzyjaciela czekała, rychło też zaczną żołnierze dopuszczać się gwałtów na bezbronnych białogłowach. Bała się, ale chciała zużytkować ten ogromny zapas oporu, w jaki się uzbroiła. Tak samo i my: przygotowywaliśmy się do stawienia mężnego oporu przeciwnościom, a tych przeciwności niema; słyszeliśmy tyle o morskiej chorobie, a nie mamy nawet łatwej aureoli tego cierpienia. Słowem — mały zawód, a niewielka burza wywołałaby niezwykłe wrażenie.

Tymczasem—pogoda. Nawet teraz, w tym osławionym z burz kanale La Manche, niema bałwanów.

...Wychodzę na pokład. Ciemna, czarna, zupełna noc. Z czwartej klasy dochodzą odgłosy śpiewu chóralnego, z góry, z jadalni I-ej klasy, słychać orkiestrę, u nas przygotowują się do koncertu. Jak w olbrzymim hotelu, a nie na statku, narażonym na wszelkie niebezpieczeństwa. Ale kiedy pasażerowie zejdą do kajut, kiedy nad łóżkami spostrzegą pasy korkowe, owe „*memento mori*", wtedy niejeden obudzi się, zimnym potem okryty, niejednemu staną włosy na głowie i niespokojnie nasłuchiwać zacznie, czy statek idzie spokojnie, czy ryk fal morskich nie zagłusza śrub.

Olbrzymi statek, widziany z dołu czy z boku, imponuje rozmiarami, wzbudza uwielbienie dla geniusza człowieka, który go stworzył; widziany z gó-

ry, w zestawieniu z niezmiernym oceanem, z jego niszczącą potęgą, wydaje się łupinką, rzuconą na łaskę i igraszkę losu. Tak banalnie myśli zbudzony nagle w nocy pasażer i... już nie pragnie niezwykłych wrażeń burzy.

— — — — — — — — — — —

8 listopada, wieczorem. Zaraz za Cuxhaven na morzu mieliśmy małą awanturę. Jeden z podróżnych, którego stan wysoce nietrzeźwy zwracał uwagę już w pociągu z Hamburga, w napadzie białej gorączki strzelił dwa razy do towarzysza kajuty, podejrzewając go o kradzież osiemdziesięciu marek. Na szczęście, nie trafił. Co się z nim potem stało, niewiadomo. Służba okrętowa zaraz po wypadku zajęła tę część drugiej klasy, w której strzelano i publiczności nie dopuszczała.

9 listopada. Rano wyszedłem na pokład. Wszędzie naokoło statki żaglowe, parowce. Znać, że jesteśmy na bardzo uczęszczanej drodze. Niema zupełnie wrażenia nieskończoności, samotności i grozy.

Zdala na południu błękitnieją brzegi Francyi. Mijamy piękną wyspę Wight, wspaniale zieloną mimo jesiennej pory, mijamy parę fortów angielskich, kilka pancerników i krążowców, dobijamy do Southamptonu.

Wyładowywanie i ładowanie pakunków idzie bardzo sprawnie. Wykonywują je stewardzi. Co to za jedni?—zapyta czytelnik.

Stewardzi jest to służba okrętowa, używana do wszystkiego: do obsługiwania pasażerów w kabinach, na pokładach, w jadalni, w bibliotece i palarniach.

Mają przytem jakieś stanowisko urzędowe, dzięki czemu stoją hierarchicznie wyżej od zwykłej służby. Są to ludzie przeważnie młodzi, bardzo obyci, mówiący wieloma językami, dzięki czemu nie gardzi flirtem z nimi niejedna pasażerka, nawet pierwszej klasy.

Uderza wszędzie niezwykła ich zręczność. W olbrzymich salach jadalnych, mieszczących po kilkaset osób, z wązkiemi przejściami pośród stołów, uwijają się tak sprawnie, że niema wypadku, aby jeden drugiego potrącił, lub aby co zbili. Toż samo przy ładowaniu i wyładowywaniu pakunków ręcznych. Niesłychanie szybko z rąk do rąk podają, właściwie rzucają je sobie, a nie zdarzy się, aby czegokolwiek nie pochwycili. Robiąc wszystko, umieją przytem zachować czystość i elegancyę w swoich zgrabnych strojach, króciutkich granatowych kurteczkach z drobnemi złotemi guziczkami, przy gorsach i białych krawatach. Robią wrażenie żołnierzy na żart.

Za Cherbourgiem w nocy zaczyna się okręt porządnie kołysać.

10 listopada. Bardzo licha noc.

Dwóch sąsiadów chorowało nieustannie. Trzeciego kilkakrotnie wzywała z sąsiedniej kajuty damskiej żona, aby ją uspakajał. Pukała bardzo głośno, właściwie waliła w ścianę. Mąż spał jak zabity; lokator łóżka pod ścianą ciągnął więc za nogę mnie, a ja, jako bezpośredni sąsiad, ściągałem z łóżka interesowanego. Ten udawał się do damskiej kajuty w bieliźnie i tam uspakajał żonę w ciągu paru minut. W jaki sposób—nie wiem.

Trochę za wiele prostoty obyczajów, jak na mój gust.

Czwarty lokator, w obawie morskiej choroby, całą noc spędził na pokładzie.

Okręt kołysał się silnie. Każdy nowicyusz sądzi zwykle, że kołysze się prostopadle do fali. I ja tak myślałem i cieszyłem się, bo łóżko moje leży właśnie prostopadle do osi statku. Kiedy więc boczna fala poczęła mnie literalnie huśtać, byłem zdziwiony nieprzyjemnie. Zaciąłem zęby, starałem się myśleć o wszystkiem, tylko nie o okręcie, deklamowałem sobie wszystkie wiersze, jakie umiem... I pomogło—pomimo bólu głowy i zawrotu, wreszcie zasnąłem.

Kiedy rano wyszedłem na pokład—widok był cudny. Przeświecało słońce. Byliśmy już na Atlantyku, ciemno - granatowym w przeciwieństwie do ciemno-zielonego morza Północnego. Szła spora fala. Tworzyły się grzebienie pieniste, nad nimi w parę prawie rozpyla się woda, przełamując promienie i świecąc wszystkiemi kolorami tęczy. Potem spada już kropelkami.

Zimny wiatr. Fale coraz większe. Statek huśta się z boku na bok silnie.

Na pokładzie sądny dzień. Tu i owdzie pochylone nad baryerami postacie z mglistem wejrzeniem. Inni z wyłupionemi na wierzch przez obawę choroby oczyma biegają z kąta w kąt, nie mogąc chwili usiedzieć na miejscu. Uwijają się majtkowie, zasypując ustawicznie ślady choroby. Zaraz za nimi stewardzi z miotłami, dzięki czemu zwykła wzorowa czystość nie ulega zmianie.

W bibliotece młody steward, polak z Torunia, jedną ręką sprzedaje drogie lekarstwa, a drugą... przepraszam, zwykłym sposobem, mówi:

— To się wszystko i tak na nic nie zdało...

— A cóż pan robi, aby nie chorować?—zapytuje słaniająca się, sina prawie blondyna.

— Nie mam czasu myśleć o chorobie, więc nie choruję. Panujcie państwo nad sobą, jedzcie, jak zwykle. Kto nie będzie chciał chorować, ten nie zachoruje. Nie trzeba poddawać się.

Po chwili poufnie dodaje dla mnie:

— Najgorsze te baby; nie mają wstydu i wszędzie... Mężczyźni mniej chorują, bo się wstydzą, bo się krępują...

Całym wysiłkiem woli staram się być mężczyzną, skupić uwagę na słówkach angielskich, których się uczę. Trudno jednak nie myśleć, gdy naokoło widać tylko słaniające się cienie. Ostatecznie doprowadzam się bez objawów choroby, prócz zawrotu głowy, do obiadu, który jem ze wstrętem, ale jem. I istotnie, po południu jest mi znacznie lepiej, pozostaje tylko przygnębienie.

Idę dowiedzieć się, czy nie chorują moi towarzysze podróży z pierwszej klasy. Nie, i oni się przezwyciężyli; cały dzień siedzą i chodzą na odkrytym pokładzie; tu im przynoszą posiłki, tu może i spać będą.

Przy obiedzie masa pustych miejsc; wiele osób ucieka od stołu, przy akompaniamencie tryumfalnego śmiechu pozostałych.

Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło.

Korzystając z tego, że wiele pań potrzebowało istotnie pomocy, młodzi i mniej młodzi panowie ofiarowali swoje usługi. Potworzyły się pary, czule spacerujące pod rękę, co trwało i potem, kiedy morze się uspokoiło. Inne panie, zdrowe zupełnie, poszły również za tym przykładem. Ogólnie—młodsze i ładniejsze więcej mają podtrzymujących ich skołatane siły. Wieczorem na pokładzie spacerowały same pary, a niektóre szukały już bardziej ciemnych i pustych kątów. Żeglarze prędko jadą...

Po południu rozdawano nam darmo pierwszy numer pisma, wydawanego na statku p. t. *Atlantisches Tageblatt.* Z telegramów dowiedzieliśmy się o wczorajszym zamachu na pociąg pod Rogowem. To mi zaimponowało, jak również i wiadomość, że idziemy z szybkością z górą 400 mil morskich (600 wiorst) na dobę.

Na statku jest własna drukarnia.

Wieczór był spokojny i cichy. Przypatrywaliśmy się wesołej zabawie i tańcom na pokładzie klasy czwartej i wysłuchaliśmy dobrego chóru. Potem był koncert orkiestry w sali jadalnej.

11 listopada. W klasie drugiej jedzie nas kilkunastu polaków; większość pań—przeważnie młodych i przystojnych.

Poznałem się z ks. Chodackim, proboszczem z Buffalo. Ciekawy typ: młody jeszcze, rubaszny, nawet grubjański, ale szczery i w swoich zapatrywaniach oryginalny; pochodzi z Galicyi; wraca obecnie od matki.

— Niech pan napisze—mówił mi—żeby nikogo nie powstrzymywali od wyjazdu do Ameryki.

W starym kraju ciasno, ludzie łokciami się trącają. U nas każdy znajdzie zarobek i dorobi się, jeżeli nie jest lekkomyślny. Naszych mężczyzn gubi pijaństwo, a nasze głupie gąski, dziewczyny, zbyt mała dbałość o cnotę. Ale, o ile tych wad niema, robią pieniądze. W Chicago, koło kościoła św. Stanisława dom przy domu mają polacy, każdy ma najmniej po sto tysięcy dolarów.

Bąknąłem coś o wynaradawianiu się, ale to proboszcza nie przekonało. Chwalił dalej Amerykę.

— Mój dobrodzieju, przypatrz się pasażerom klasy pierwszej. Ilu z nich przed laty dziesięciu przyjechało do nas czwartą! Bo u nas niema głupich przesądów. U was, w starym kraju, szlachta, to tam znowu mieszczanin, chłop. Tu kto zdolny, we dnie myje talerze, a wieczorem może się uczyć w szkołach, ba, w uniwersytecie i ten co wczoraj ulice zamiatał, jutro ma ofis' doktora, albo inny „business". Tak, kochany przyjacielu, tak...

Zanotowałem parę adresów i obiecałem proboszczowi swoją wizytę w Buffalo. Zauważyłem, że wynoszenie pod niebiosa Ameryki jest słabością wszystkich byłych europejczyków, dziś tam osiadłych.

*

*   *

Najpiękniejsze popołudnie. Słońce przebiło mgłę i pełnem światłem zabłysło na widnokręgu, kładąc się złocistym płaszczem na ledwie zmarszczonej powierzchni wody. Atlantyk jest tak niebieski, jak

Śródziemne. Tylko niebo północne niema tego intensywnego błękitu, jak tam.

Na pokładach wesoło. Zawiązane we wczorajszej niedoli węzły serdeczne utrwalają się. Wiele osób rozpoczyna gry na świeżem powietrzu: zarzucanie zdaleka kółek na słup drewniany, przeciąganie sznura, parę pań gra nawet w „klasy". Słychać wszędzie głośne śmiechy dziecinne; w czwartej— dzieci tłumnie zjeżdżają z pochyło podniesionych daszków. Gwarno jak nigdy.

A statek pędzi całą siłą pary na zachód. Mały wiatr, 13°C. Od Nowego Jorku jeszcze 2,400 mil morskich nas dzieli...

13 listopada. Od rana mgła taka, że o parę kroków nic nie widać. Niebezpieczeństwo spotkania się statków. To też syrena ryczy co parę minut, aby ostrzegać zbliżające się parowce. Taki ryk jest nieznośny.

Po południu mgła rozprasza się. Dzień ładny, ale znowu wiatr i wielkie fale. Pomimo silnego kołysania mogę ustać na pokładzie i po raz pierwszy naocznie stwierdzam głębokość przepaści, w które zapada się „Ameryka". Szczególnie widać to dobrze na samym przodzie okrętu, który co chwila wznosi się i pogrąża o kilkanaście łokci. Ktoś zbytnio zaufał swoim siłom i puścił baryerę: niebawem leży na pokładzie, zmieciony przez wiatr, który ciągle się wzmaga. Znów wiele osób choruje. Ładna będzie noc...

14 listopada. Wiatr uspokoił się zupełnie. Deszcz mży. Smutny, wilgotny dzień. Na pokładach

zewnętrznych pustki. Za to w salonach wspólnych pełno i duszno.

Korzystam z dnia niepogody, by zwiedzić niższe klasy.

Trzecia—podobna do naszej drugiej, bez komfortu i salonów wspólnych. Ale kajuty porządne, osobne, na pięć do ośmiu osób. Jest też osobna wspólna sala jadalna. Trzecia klasa mieści się na najniższych piętrach, obok kajut pierwszej i drugiej, klasy, lecz na obu końcach parowca, przednim i tylnym—tam, gdzie najbardziej daje się uczuwać kołysanie.

Niżej—schodzimy do Gehenny, do olbrzymich sal klasy czwartej. Przypominają się słowa Dantego: „Wy, którzy tu wchodzicie, zostawcie wszelką nadzieję". A jednak ci, którzy tu jadą, najwięcej mają nadziei lepszego bytu na nowej wolnej ziemi. I te nadzieje się spełniają czasem.

Mam wrażenie więzienia najstraszniejszego, bo pływającego, bez możliwego wyjścia, bez nadziei ucieczki. I zewnętrznie przypomina mi to wielkie sale na Pawiaku, widziane czasem w przejściu, bo i tam korzystałem z przywileju klasy drugiej, z osobnej kajuty, czyli celi...

Wzdłuż olbrzymich, a bardzo niskich sal idą szeregi górnych i dolnych nar. Na narach, na siennikach leżą zmieszane razem grupy mężczyzn, kobiet i dzieci. Twarze blade, gorejące oczy. Prawdziwi potępieńcy, ci, którzy ciągle chorują i nie mogli wyjść, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Kto tylko może się zawlec, zdąża na pokład zewnętrzny. Ale dziś drobny deszcz przemoczył nawskroś nawet gru-

be płótno żaglowe, rozciągnięte nad tym pokładem, i płótno płacze olbrzymiemi kroplami, które spadają na podłogę wielkiemi kałużami.

Na pokładzie tedy niema prawie nikogo. Wszyscy tłoczą się w dusznych salach z brudną podłogą, ziejącą strasznemi wyziewami śmieci, różnych odpadków, śladów choroby morskiej.

Wnoszą w olbrzymich cebrach posiłek. Znowu jak żywe staje przedemną wspomnienie więzienia. Ludzie zbliżają się z manierkami i zabierają sobie jedzenie. Są, którzy jedzą je chciwie. Więcej takich, którzy leżą na narach jak kłody, obojętni już na wszystko: na strawę, na okropny zaduch, na cały świat otaczający. Ci modlą się tylko w głębi duszy o prędszy dojazd do ziemi obiecanej.

Sala brzmi rozgwarem rozmów, kwileniem dzieci. Tu i owdzie wybucha wrzaskliwa kłótnia. Tam, w kącie, ukazuje się z pod ławy butelka, owa ziemska „pocieszycielka", nastraja ktoś harmonijkę. Są twardzi ludzie, którzy i tu bawić się mogą. Ci w Ameryce zwyciężą.

Przeważają, naturalnie, emigranci-niemcy. Zresztą wieża Babel—wszystkie języki, kilkunastu Polaków. Nic ciekawego do zanotowania.

Statek całą siłą pary dąży do nowego lądu. Niechże ten wolny kraj stanie się dla was, biedaków, prawdziwą ziemią obiecaną za te wasze cierpienia potępieńcze...

15 listopada. Piękny, spokojny dzień. Wieczorem, koniec pokładu drugiej klasy zasłonięto płótnem żaglowem, udekorowano bardzo ładnie flagami i urządzono nam bal. Podłoga wysypana sproszko-

waną stearyną, jak na majówkach. Tymczasem to listopadówka—jedyny w swoim rodzaju bal na okręcie, na świeżem powietrzu, prawie w zimie.

Ochoczo gra muzyka. Raźno w takt walca i polki suną liczne pary. Panowie w marynarkach, panie w lekkich bluzkach, niektóre w tualetach balowych. Króluje polka, panna D. z Berlina, jadąca do narzeczonego w Detroit (Michigan). Zaraz po przybyciu na miejsce ma być ślub.

W charakterze widzów przychodzi kilkunastu pasażerów klasy pierwszej, między nimi i moi towarzysze podróży, ks. Gralewski i dr. Kowalski. Rozmawiają o różnicy nastroju pasażerów w obu klasach: u nas wszyscy mniej więcej znają się i łączą, u nich dość sztywnie trzymają się osobno; u nas jest też więcej prostoty obyczajów, ludzie mniej się kryją z objawami choroby morskiej — u nich za to każą chorym chować się w kajutach. Dzieci najmniej w pierwszej klasie, więcej u nas, najwięcej w klasie czwartej. Na okręcie — jak w społeczeństwach.

Rev. Chodacki z Buffalo, filozof polsko-amerykański, robi na ten temat swoje uwagi:

— Bo to widzicie, ojcowie, w pierwszej klasie każdy patrzy na drugiego: czy to hrabia, czy półhrabia, Niemiec, czy Anglik, czy Polak. Ludzie patrzą na siebie jak wilki, jak w starym kraju, skąd jadą. Ale pojedźcie ino do Ameryki, to zupełnie inaczej: wszyscy są bracia, wszyscy panowie...

Jakoś nam się w ten zupełny demokratyzm wierzyć nie chce. Ale... dożyjemy—zobaczymy. Tymczasem zaś, idziemy spać, bo bal skończony.

16 listopada. Przespałem największą burzę. Wczoraj udałem się na spoczynek przy zupełnie spokojnem morzu, dziś zaś obudziło mnie bardzo silne kołysanie około szóstej rano, ale już było po burzy.

Opowiadał mi steward, że była prawdziwa sądna noc. Około pierwszej w nocy przerażone kobiety powyskakiwały w koszulach na korytarze, zaczęły otwierać okna, przez które nalało się wody do korytarzy i nawet do kabin, ponieważ biły olbrzymie bałwany, kilkunastometrowej wysokości. Trzeba było pasażerów prawie przemocą zaganiać do kabin i okna zamykać na klucz.

Cały dzień morze burzliwe. Znowu twarze chore i smutne. Ten i ów pociesza się, że już widział ląd. Ale to złudzenie wyobraźni. Wprawdzie wczoraj przejeżdżaliśmy koło New-Foundlandu, dziś koło Nowej Szkocyi, ale zbyt daleko, aby można było coś zobaczyć. Widzieliśmy wczoraj sporo statków rybackich.

Dziś wyszedł ostatni numer pisma atlantyckiego, o którem już pisałem, wydawanego w dwu językach, niemieckim i angielskim. Dziś przy kolacyi rozdawano nam upominki—dosyć ozdobne notesy z ołówkami w metalowej oprawie z wytłaczaną podobizną „Ameryki".

Morze ciągle burzliwe. Z tego powodu spóźnimy się zapewne o parę godzin, ale zawsze jutro już będziemy na lądzie, w Nowym Jorku. Pali nas niecierpliwość i ciekawość...

ROZDZIAŁ II.

Pierwsze wrażenia. — New York.

Nowy Jork, d. 19 listopada.

W sobotę już od samego rana między pasażerami „Ameryki“ dawał się uczuć ruch gorączkowy. Pakowano się gwałtownie. Potem przy wczesnym obiedzie w cichej zazwyczaj sali jadalnej było gwarno, jak w ulu.

Dzień prześliczny, ciepły, słoneczny. Morze tak spokojne, że robi wrażenie lustrzanej płaszczyzny. W oddali widać piaszczyste brzegi Sable Island. Spostrzegamy z radością pierwsze grupy drzew, niewidzianych od tygodnia.

Nastrój wogóle radosny. Ale tu i owdzie widzę postacie smutno zadumane, spoglądające melancholijnie wstecz. To ci, którzy po raz pierwszy za parę godzin staną na nowym lądzie, by sobie nową stworzyć przyszłość. A teraz ostatnie chwile oddają tęsknocie, rodzinie, rozmyślaniom o ziemi ojczystej. Co im ta przyszłość przyniesie — pytają trwożnie w duszy, zanim ogarnie ich zamęt i wir ciężkiej walki o byt.

Niewiele czasu pozostało jednak na rozmyślania. Bo oto piękne, pokryte willami brzegi Staten Island, dalej mury fortecy Worthwich i „Ameryka“ zarzuca kotwicę. Ale to jeszcze nie brzeg. Zbliża się do nas statek pocztowy, potem maleńki statek doktora sanitarnego, zdobny żółtą flagą, wreszcie duży kutter urzędu celnego. Nie tak łatwo postawić

stopę na wolnej ziemi: trzeba poddać się całemu szeregowi formalności biurokratycznych, zapewne potrzebnych, acz nieco rażących w zestawieniu z ową wolnością, o której tyle się nasłuchaliśmy. Rev. Chodacki ze swoją dobroduszną filozofią robi uwagę, że i urzędnicy żyć muszą, i oni mają swój „business”...

Statek wolniutko teraz już rusza rzeką Hudson, a my poddawani jesteśmy różnym formalnościom. My—pasażerowie klasy drugiej, bo trzecia i czwarta będą badane daleko ściślej, jak przystało na demokratyczną Amerykę, i przed jutrem na ląd nie wysiądą, a klasa pierwsza traktowana jest bardzo oględnie. Bogaci idą—z drogi! Teraz rozumiem, dlaczego kasyerowie, uciekający z cudzemi pieniędzmi, wykupują bilety pierwszej klasy, a nawet najdroższe kabiny...

Więc doktór bada nam oczy, urzędnik emigracyjny zapytuje, po co do Ameryki jedziemy, celnik pragnie się dowiedzieć, co wieziemy. Kiedy odpowiadam, jakiej jestem narodowości, z życzliwym uśmiechem słyszę wszędzie „aha, polski, polski!” co świadczy, że polacy mają tu markę dobrą. Godność „journalist” i cel turystyczny „trough America” zwalniają mnie nawet od zapytania, ile mam ze sobą pieniędzy.

Po ukończeniu formalności wychodzę na pokład. Już jesteśmy w mieście. Po lewej stronie Hoboken-Jersey City (stan New Jersey), gdzie wylądujemy, po prawej Nowy Jork. Uderzają odrazu głośne „drapacze nieba”—kilkunastopiętrowe wąskie kamienice, sprawiające wrażenie wież.

Już przystań blisko. Ale takiemu olbrzymowi, jak „America“ niełatwo się dostać. Przypinają się do niego niby pijawki małe stateczki w liczbie dziewięciu i z przeraźliwym świstem wpychają nasz parowiec do wąskiego doku. Trwa to jeszcze godzinę. Ale już z okien olbrzymiej hali przystaniowej powiewają chustki, już poznają ludzie wzajemnie krewnych, ojców, żony...

W porcie ruch olbrzymi. Mkną na wsze strony małe stateczki, olbrzymie promy, tratwy, z drzewem, węglem i gruzem. W powietrzu stoi gęsta mgła z dymu tych statków. Brzmi jakaś przeraźliwa symfonia świstów, ryków syren, hałasu zdyszanych maszyn, turkotu śrub...

Wpadam na chwilę do jadalni naszej. W tej chwili jest to „salon des refusés“, zebranie tych, którym Ameryka odmawia gościnności. Tym wylądować nie wolno, bo nie odpowiadają wymaganiom. Ten jest chory, ów nie ma pieniędzy, a przeważają młode panny, którym nie wolno wylądować bez opieki. Jeżeli zgłosi się po nie mąż, ojciec, brat, matka, siostra, lub krewny, wzbudzający zaufanie, dostaną się na ląd; jeżeli nie—będą musiały wrócić do Europy. Młodych, samotnych kobiet Stany nie chcą; nie chcą by stawały się łupem rozpusty, by wolny ląd służył za arenę interesów handlarzy żywym towarem. A jednak z Europy różni handlarze wywożą tu tysiącami dziewczęta, umieją bowiem zastosować się do przepisów, które w ten sposób stają się aż nazbyt często więzami, krępującemi właśnie jednostki moralne.

Jeszcze parę pchnięć i rzucają mostki. Jest

godzina trzecia, w Warszawie dziesiąta wieczorem. Spóźniliśmy się o trzy godziny.

Rewizya celna—to dużo hałasu o nic. W olbrzymiej hali każdy staje pod literą początkową swego nazwiska. Kiedy zniosą wszystkie jego pakunki z odpowiednim biletem idzie do inspektora, siedzącego przed literą *A* (dla mnie to znaczy pół wiorsty drogi tam i z powrotem) i dostaje urzędnika, który nalepia kartki tylko, bo mnie np. wcale kuferków nie otwierano.

Ale trwa to długo. Dom emigracyjny polski im. św. Józefa przysłał agenta. Jest nas pięciu kandydatów: ks. Gralewski, dr. Kowalski, ks. Chodacki z Buffalo, ks. Żebrowski i ja. Zanim skończyliśmy z rewizyą, zanim oddaliśmy rzeczy nasze towarzystwu ekspresów, które dostarczy je nam na miejsce, upłynęło z górą dwie godziny.

Ciemno już jest, kiedy pieszo opuszczamy przystań. Brudne i nędzne to Hoboken. Imponuje nam dopiero olbrzymi piętrowy prom, przewożący pasażerów, wozy frachtowe, powozy i t. d., wspaniale oświetlony elektrycznością, który bardzo szybko dostawia nas na drugi brzeg Hudsonu.

Jesteśmy już w Nowym Jorku i ku naszemu wielkiemu zdumieniu przesiadamy się do tramwaju... konnego! Dowiadujemy się, że to przeżytek jedyny: z powodu olbrzymiego ruchu w tej dzielnicy nie można było puścić elektrycznego. Za to widzimy górną kolej elektryczną miejską, prowadzoną wzdłuż niektórych ulic na słupach żelaznych, od czasu do czasu spostrzegamy małe budyneczki—to stacye kolei elektrycznej podziemnej; to znowu przetnie nam

drogę tramwaj elektryczny, a bokami ulicy ciągnie z turkotem nieprzerwany sznur wozów frachtowych... Życie tętni tu żywo.

Nieco oszołomieni stajemy przed wąskim czteropiętrowym czerwonym budynkiem. To nasz „dom“ tymczasowy, polski dom emigracyjny — Broadstreet 117.

*

* *

Ładny dzień. Spokój, cisza i pustka. Amerykanie obserwują niedzielę bardzo ściśle — nie tak wprawdzie jak w Anglii, ale ściślej niż u nas.

...Rano na mszy w kaplicy. Na trzeciem piętrze domu św. Józefa mały schludny pokoik z ołtarzem w głębi. Pełno ludzi, przeważnie świeżo przybyłych z kraju, bo dom emigracyjny z zasady nie trzyma nikogo dłużej, niż parę dni, póki nie znajdzie sobie pracy. Doniosła to instytucya — kawałek Polski na ziemi amerykańskiej.

Zarządza nim bezpośrednio przy pomocy pięciu sióstr felicyanek ks. kapelan Jóźwiak, urodzony już na ziemi amerykańskiej. Dyrektorem i administratorem zakładu jest ks. Kwaśniewski, proboszcz parafii św. Wojciecha w Nowym Jorku, dokąd udajemy się na sumę. Parafia niewielka—w ładnym kościołku w stylu gotyku angielskiego, bardzo schludnym i miłym, mieści się na ławkach około tysiąca osób. To już polacy dłużej tu zamieszkali. Znać na nich dobrobyt: mężczyźni przeważnie w surdutach, niewiasty szeleszczą jedwabiami, ubra-

ne w fantazyjne kapelusze z piórami, rzadko dopasowanemi do urody. Wiele typowych polskich twarzy, wiele dziewczyn, którym lepiejby do twarzy było w gorsecikach i koralach.

Ks. Gralewski ma kazanie na temat miłości ojczyzny. Na twarzach znać wzruszenie. A kiedy kaznodzieja mówi, że przynosi im pozdrowienie starego kraju, matki—ojczyzny, na niejednej marsowej, bruzdami pooranej twarzy spływa łza, tu i owdzie w ławkach kobiet rozlega się szlochanie.

Po nabożeństwie mieszamy się z tłumem. Żywo idzie rozmowa. Przeważnie, prawie wyłącznie są to robotnicy, wyrobnicy. Ale mają się dobrze, bo zarabiają 2—4 dol. dziennie. A mieszkania są tańsze, mięso tańsze, węgiel w tej samej cenie co u nas. Prawie wszyscy chwalą sobie Amerykę.

Po południu zdążamy do Brooklynu, do kościoła św. Stanisława (proboszcz ks. Wysiecki), gdzie biskup ma bierzmować polaków. Kościół duży, śliczny, najpiękniejszy w okolicy, utrzymany w czystym stylu gotyckim, oświetlony elektrycznością, ogrzewany centralnie parą. Kościół zapełniony, nawet chodnik zawalony ludem. Biskup bierzmuje kilkuset polaków i przemawia po angielsku, cytując masę faktów z historyi Polski. Wita nas pieśń śpiewana na nutę „Boże coś Polskę".

Po obiedzie przedstawiamy się biskupowi Brooklynu Mac Donallowi. Jest to, jak większość biskupów, „Ajrysz"—tak tu nazywają Irlandczyków (Irish). Wysłuchujemy paru komplementów pod adresem narodu polskiego, a po cichu dowiaduję się, że mgr. Mac Donall chętnie bardzo patrzy na

amerykanizacyę (czytaj angielszczenie) polaków. Trochę mi dziwno widzieć biskupa w tużurku — księża chodzą tu zupełnie ubrani po świecku.

Późnym wieczorem wracamy do domu. Próbka komunikacyi i odległości tutejszych. Z domu emigracyjnego do kościoła św. Wojciecha jedziemy trzy kwandranse koleją górną, ztamtąd do Brooklynu koleją górną, promem przez East River i tramwajem, z Brooklynu do domu tramwajem, promem (po tutejszemu „farą“ od angielskiego „ferry“) i koleją górną. Przyznaję się, że trochę mnie ta wielkość przygnębiała, i dobrze mi było w oazach polskich. Zresztą na ulicach pustki zupełne — wszystko pozamykane.

Koleje, promy, tramwaje kursują całą noc.

*

* *

W poniedziałek widziałem Jersey City, obrzydliwe, brudne miasto, po drugiej stronie Hudsonu, i małą cząstkę Nowego Jorku. Z tego, co widziałem, mam opinię taką:

Miasto naogół brzydkie, ale imponujące ogromem i potęgą. Dorożki, powozy, samochody ogromnie drogie, skutkiem czego jest ich mało. Środkiem ulic, w części handlowej, ciągną tylko wozy frachtowe—gdzieindziej pustka. Chodniki zawalone ludźmi, śpieszącymi za interesami. Spacerujących mało, albo i wcale niema. Po godzinie „biznesowej“, czyli po siódmej wieczorem, na ulicach pustki. Zaczy-

nają je zamiatać. Cały ruchześrodkowuje się na różnych kolejach, tramwajach, statkach i promach.

Wszystko tu jest olbrzymie. Rzeki jak jeziora, kamienice jak wieże, ulice kilkanaście kilometrów długie, fortuny i obroty finansowe bajeczne, zarobki znaczne, dobrobyt znać wszędzie. Tę olbrzymiość podkreślają zawsze amerykanie wszelkich narodowości, a więc w danym razie i polacy są z niej pyszni. Mamy iść w tych dniach do cyrku; jestem przekonany, że przykro im będzie, iż nie będą mogli pokazać nam koni, jak słonie—tu ustaje potęga nawet amerykanina. A już słyszałem, że zobaczę hippodrom największy na świecie.

*

* *

...Butów w mieszkaniach tu nie czyszczą, chyba u ludzi tak bogatych, że mogą trzymać służącą. A niefachowe służące, dziewczyny wprost od nas np., które zresztą biorą bardzo chętnie, bo mają dobrą opinię, pobierają już od 12—18 dolarów (24—36 rb.) miesięcznie, osobny pokój, życie i pół dnia w tygodniu wypoczynku. Otóż przeciętny śmiertelnik każe sobie buty czyścić na ulicy, albo na promie, w drodze, gdzie operuje wielu chłopców. Kosztuje to 5 ct.—dwadzieścia groszy.

Wczoraj podczas czyszczenia butów układałem sobie kliszową historyę takiego chłopca, wedle pojęć europejskich. Więc był w usługach przedsiębiorcy, potem z pierwszych oszczędności założył interes na własną rękę, potem z dalszych utworzył

kompanię, założył syndykat czyszczenia obuwia, podniósł ceny i został miliarderem. Są waryanty: mógł zostać uczonym wynalazcą, albo prezydentem rzeczypospolitej.

W rzeczywistości zapewne umiera przedwcześnie—sterany walką o byt. Nie widać tu prawie ludzi starych. Cóż się z nimi dzieje? Giną poprostu. Niema tu miejsca dla niedołężnych, dla chorych. Nie trzeba tu chorować, ani umierać, bo to za drogo kosztuje; aforyzm ten słyszałem wczoraj.

*

* *

...Wizyta u inżyniera polaka w biurze na Broadway, na trzynastem piętrze. Cztery windy na dole: dwie wożą pod górę, dwie na dół, jedna zwyczajna, która zatrzymuje się na każdem piętrze, druga zaś pośpieszna do 15 go piętra odrazu. Kursują co dwie minuty, jak pociągi, i zawsze pełne.

Dom ma dwadzieścia pięć pięter; obecnie budują taki, który będzie liczył czterdzieści jeden. Pojechaliśmy na ostatnie piętro. Zapadał zmierzch. W różnych „drapaczach" zapalano światła w oknach. Czasem cały dom był jeszcze pogrążony w ciemnościach, a światełka błyskały tylko na górnych piętrach i świeciły niby gwiazdy w przestrzeni. Widok był prześliczny i istotnie niezwykły. Na obu rzekach we wszystkie strony mknęły ruchome ogniki—promy i statki, których kadłubów nie było widać we mgle. Z dołu dochodzi gwar, dzwonki, gwizdy.

Można było przez chwilę sądzić, że jesteśmy zawieszeni w powietrzu...

Przechodziłem przez Broadway w dwie godziny później. „Drapacze nieba” stały ciemne, ogromnie ponure i smutne. Bo domy te budują wyłącznie na biura, t. zw. tu „ofisy“, więc z chwilą zamknięcia biur stoją pustką. A budują je wysoko, bo stopa kwadratowa gruntu kosztuje sumy szalone. Biura wynajmowane są na stopy kwadratowe, najmniej po 3 dol. od stopy rocznie. Z tej taksy powstają czynsze potwornie olbrzymie... jak wszystko...

*

*   *

Byłem u kilku znajomych w pierwszorzędnych hotelach Nowego-Yorku: Waldorf-Astorii, głośnej i w Europie, Belmont, Manhattan. Wchodzi się do olbrzymiej, dwupiętrowej wysokości halli, wyłożonej marmurami; na balkonach i na sali pełno wygodnych foteli, zajętych przez oczekujących. I tak, jak na odpuście.

Znajomego znaleźć nie łatwo. Hotele liczą po tysiąc i tysiąc pięćset numerów. Zanim odnajdą nazwisko w skorowidzu, zanim poczta pneumatyczna zaniesie bilet wizytowy, nim przyjdzie odpowiedź— upływa sporo czasu.

Wreszcie jestem w numerze, nie wysoko, na piątem piętrze. Hotele liczą po kilkanaście piętr— kilka fundamentowych, pod ziemią, gdzie mieszczą się sklepy, fryzyerzy, czasem stacye kolei podziemnych. Jak wygląda numer za sześć dolarów (12 rb.) dzien-

nie? Zupełnie zwyczajnie: wielkość średnia, sprzęty najniezbędniejsze, osobna łazienka i wygódka.

Rzecz dla europejczyka charakterystyczna — nawet w tak drogim hotelu nie czyszczą butów — gościom płci męskiej; wyjątek robi się tylko dla kobiet. Cytowano mi też domy zamożne, pełne służby, gdzie o buty trzeba dbać samemu. Widocznie czyszczenie obuwia uważane jest za zajęcie szczególnie poniżające.

Zjeżdżamy windą. Wchodzi kobieta. Wszyscy mężczyźni zdejmują kapelusze i wstają z miejsc. Bez względu na to, czy siądzie, czy nie — już nam usiąść nie wolno.

Jest to jedna mała próbka stanowiska, jakie kobieta zajmuje w tutejszem życiu towarzyskiem. Dzięki niej, znany z dawnych opowiadań typ yankesa, nieustannie palącego lub żującego tytoń, spluwającego na kilka łokci, zadzierającego nogi do góry — należy dziś już do przeszłości. Dzięki niej w większości przyzwoitych restauracyi, dokąd uczęszczają kobiety, absolutnie palić nie wolno, a w długim pociągu ekspresowym znajdziemy zaledwie jeden mały kącik do palenia. Wszyscy usuwają się jej z miejsc, a oprócz mężczyzn i prawo bierze ją w opiekę, karząc surowo wszelkie objawy donżuanieryi. W tych dniach skazano znakomitego tenora Caruso na 10 dol. kary za nieprzyzwoity gest w stosunku do jakiejś niewiasty. Proces ten — mogła to być zresztą reklama dla zjednania śpiewakowi popularności, ale są inne przykłady.

Dzienniki przepełnione są notatkami z procesów o zaczepianie, o złamanie przyrzeczenia mał-

żeństwa, ba, nawet o honorarya i za inne zasługi. W sobotę skazano króla asfaltowego na wypłacenie swej dawnej sekretarce sumy 1,975 d. 68 ct. za „usługi specyalne, oddawane po za godzinami biurowemi". Adwokat skarżącej zastrzegł się przeciwko wymienianiu rodzaju tych usług. Więc o co chodziło... i ja nie wiem.

Jakaż jest ta prawdziwa królowa stworzenia-kobieta tutejsza? Przeciętnie przystojna—kombinacya różnych ras wytworzyła typ ładny, o rysach regularnych, wysmukły; w ładnych figurach znać stałe używanie sportu i gimnastyki. Dba bardzo o swój strój — niema prawie kobiet ubranych niestarannie. W szkołach ludowych, które zwiedzałem, widziałem nietylko czysto, ale ładnie ubrane córki wyrobników i robotników; wiele z nich miało na sobie pełno wstążek, tanich świecidełek, broszek, bransoletek i t. d.—zawiele, jak dla mnie. Wyrastają potem na kobiety dosyć lekkie, mało praktyczne, niezbyt zdatne na żony ludzi ubogich.

*

* *

W Waldorf Astorii na herbacie popołudniowej. W Nowym Jorku obecnie olbrzymi zjazd bogaczów z całej Ameryki, z powodu wystawy koni. Przy ogólnem zamiłowaniu do życia hotelowego — w sali poprostu tłok. Tłumy pięknych i niesłychanie strojnych kobiet, obsypanych literalnie brylantami, bardzo otaczanych i zabawianych przez mężczyzn. Atmosfera podniecona—goreją lica, krzyżują się bły-

szczące wejrzenia, uściski dłoni... Czy też będą stąd procesy o zerwanie przyrzeczenia małżeństwa?

Tegoż dnia nie można było dostać stolika na obiad w żadnej pierwszorzędnej restauracyi. W każdym wielkim hotelu są dwie sale obiadowe: jedna, wspaniała, na górze, gdzie bywają panie, i druga, mniejsza, mniej elegancka—dla tych mężczyzn, którym się nie chce włożyć smokinga lub fraka, i którzy chcą palić w restauracyi; tu panie nie bywają zupełnie.

Wieczorem byłem w cyrku—olbrzymi na kilka tysięcy osób. Występuje kilkaset osób. Na scenie prawdziwa wielka rzeka, wystawa wspaniała—po za tem nic nadzwyczajnego.

W nocy między ulicą 14-tą a 42-ą spotyka się tłumy strojnych kobiet, świadczących, że Nowy Jork bynajmniej cnotą nie świeci, a policya musi ciągnąć znaczne zyski z zamykania oczu na pewne objawy życia...

*

* *

Osobna wzmianka należy się komunikacyom miejskim Nowego Jorku. Miasto przecięte jest w kierunku długości liniami kolei nadziemnych, idących po wybudowanych na ulicach rusztowaniach żelaznych, na wysokości 1-go i 2 go piętra, i podziemnych, idących bezpośrednio pod ulicami. Bilet kosztuje 5 ct. (10 kop.); kontrola bardzo prosta: oddaje się bilet przy wejściu na stacyę i można za nim jechać 30 klm. i więcej. W kierunku szeroko-

ści przecinają miasto liczne linie tramwajowe, które uwzględniają jeszcze i te ulice pionowe (Avenue; ulica pozioma—street), po których nie kursują koleje. I tu bilet kosztuje 5 ct. z prawem nieskończonego przesiadania się. Takie same komunikacye posiada i Brooklyn od lat paru wcielony do Nowego Jorku i połączony z nim, niby Praga z Warszawą.

Miasto Nowy Jork ma kształt niezmiernie wydłużonej wyspy, 21 klm. długiej, a 4 klm. szerokiej w najszerszych miejscach; oblewają je ze wszystkich stron rzeki Hudson, East River i Harlem. Po tamtej stronie Hudsonu inny stan—New Jersey i inne miasto Jersey City; po drugiej stronie East River i Harlemu przyłączone do miasta przedmieścia Brooklyn ($1^1/_2$ mil. mieszkańców), Long Island, Bronx i inne. Wzdłuż wyspy idą „avenues" wszerz ulice (streets), kolejno numerowane.

Mieszkania w mieście ogromnie drogie, skutkiem czego wszyscy mieszkają na krańcach, na przedmieściach. To tłumaczy olbrzymi ruch na kolejach (pociągi kursują co 2 minuty; na kolei podziemnej są też ekspresy, zatrzymujące się tylko na najważniejszych stacyach miejskich), olbrzymi zwłaszcza w porze zamykania biur i fabryk, od godz. 3 do 7 po poł.

W tej porze jechałem do Brooklynu. Nie będę wam opisywał mostu, arcydzieła koronkarskie sztuki inżynierskiej, spopularyzowanego zresztą przez ilustracye. Prócz niego jest jeszcze drugi, a budują trzeci na dwukilometrowej szerokości. Po mo-

stach idą koleje górne i tramwaje; rzekę przecinają niezliczone promy.

Pomimo to wszystko tłok nie da się opisać. Straciłem zupełnie głowę. Każdy pociąg, każdy tramwaj odchodzi przepełniony. Miejsce zdobywać trzeba siłą pięści. Podobno o tej porze przejeżdża East River półtora miliona osób.

Komunikacye te są istotnie bajeczne.

ROZDZIAŁ III.

Żelaznym Szlakiem.

30 listopada.

Zanotujmy jedno rozczarowanie. Głośno brzmią w Europie pochwały dla kolei amerykańskich, ich szybkości, punkalności, wygody. Wszystko to złudzenia.

Wyjechaliśmy wczoraj do małego miasta Worcester, siedziby znakomitego Clark-University, gdzie rektorem jest Stanley Hall, sławny pedagog-psycholog.

Przestrzeń 304 klm. mieliśmy przebyć w 4 i pół godziny, czyli z nienadzwyczajną szybkością 66 klm. na godzinę. Tymczasem pociąg spóźnił się o trzy kwadranse, zupełnie jak u nas na kolei dąbrowskiej.

Jechaliśmy ekspresem. Niema tu klas w pociągach, ale są klasy pociągów, droższych i mniej drogich, zależnie od szybkości. Bilet kosztował 3 dol. 75 ct., dopłata za wagon salonowy 1 d., czyli

że kilometr wypadł nam po $1^1/_2$ ct. (3 kop.) z górą. Wagon salonowy niewygodny: olbrzymi, systemu Pullmana, bez przedziałów; kilkadziesiąt foteli, obracających się na swoich osiach. Zwyczajne wagony pierwszej klasy—obrzydliwe: wąskie ławeczki na dwie osoby, jak u nas w kl. 3-ej, tylko że wyścielane. Wszystkie wagony trzęsą.

W Stanach jest dużo kolei prywatnych, konkurujących ze sobą: z Nowego Jorku do Chicago np. prowadzi pięć różnych linii. Może więc trafiliśmy na złą i ubogą kompanię kolejową...

Nie chcę też nic uogólniać, ale pierwsze wrażenie jest bardzo niekorzystne i wywołuje tęsknotę za starą Europą.

W ekspresie „Boston Special", 6 grudnia.

Wyjechałem dziś rano z Bostonu, sam po raz pierwszy od czterech tygodni. Moi towarzysze podróży zamierzają wstąpić po drodze tu i owdzie za swoimi interesami, mnie zaś spieszno do stolicy Polski amerykańskiej — do Chicago. Czeka mnie przebycie przestrzeni tysiąca mil ang. (1,610 klm.); stanę na miejscu dopiero jutro w południe, po dwudziestu pięciu godzinach podróży.

Mam do zanotowania parę szczegółów, dotyczących Bostonu, miasta, liczącego około półtora miliona mieszkańców, amerykańskich Aten, stolicy umysłowej stanów, jak New-Jork jest stolicą handlową, a Washington—polityczną.

Więc przedewszystkiem Boston ma największą centralną stacyę kolejową na świecie. Z dworca południowego rozchodzi się we wsze strony 28

podwójnych linii szyn, czyli ogółem 56 linii; przychodzi i wychodzi dziennie z górą dwa tysiące pociągów. Sam gmach nie jest piękny — amerykanie mało dbają o estetykę, ale olbrzymi, okazały i bardzo praktycznie urządzony; w każdej poczekalni może znaleźć pomieszczenie dwa tysiące osób. Otoczone są one małemi celkami mieszczącemi kasyerów biletowych, sprzedających bilety bez ograniczenia, absolutnie wszędzie. Słowem, pomimo olbrzymiego ruchu, niema tu nigdy tłoku i nieporządku.

Drugi szczegół, który mnie uderzył — to park olbrzymi, ciągnący się naokoło miasta na przestrzeni blizko pięćdziesięciu mil angielskich; przypomina on przez swój charakter okalający planty krakowskie; oczywiście jest o wiele większy i szerszy. Żałuję, że nie jestem tu w lecie; wtedy dopiero możnaby całą jego piękność ocenić.

Ale największe wrażenie zrobiła na mnie biblioteka i czytelnia publiczna. Nie przez olbrzymią ilość gazet i czasopism we wszystkich językach— nie przez bogactwo i dobór dzieł, ale przez urządzenia filialne. Dzięki kilkudziesięciu filiom, rozrzuconym po wszystkich krańcach miasta, zaopatrzonym w katalogi biblioteki głównej i otwartym w godzinach wieczornych, gdy wolni są ludzie pracujący, z biblioteki może korzystać literalnie każdy, może się kształcić sam lub uczyć zawodowo z podręczników. I istotnie korzysta prawie każdy – z wyjątkiem niestety polaków. Każda filia sporządza co miesiąc dokładne wykazy dzieł, wypożyczanych przez poszczególne narodowości. Wobec prawie zupełnego

braku w wykazach polaków nie sprowadza się książek polskich wcale, a i prenumerowane pisma polskie powoli zarząd biblioteki wycofuje...

*

* *

...Przez okna wagonu mijają krajobrazy Nowej Anglii. Równina skalista—w oddali morze. Ciągle murowane domki. Jedziemy jakby wzdłuż olbrzymiego miasta. Wsi tu niema. Od czasu do czasu tylko domki rzedną: to kończy się jedno miasto—zaraz zacznie się drugie. Wszędzie tramwaje elektryczne—zda się, że całą tę okolicę możnaby przejechać tramwajem.

Mgła bardzo gęsta. Nie widać nic prawie. Zaczyna padać śnieg. Straszą nas, że drogę zasypie.

Dzwon ostrzegawczy na lokomotywie bez przerwy kołacze—pogrzebowo, żałośnie. Do wtóru wydaje od czasu do czasu gwizdawka tony trwożne, rozpaczne, jakby wzywające pomocy.

Pociąg to pędzi szalenie, to zwalnia pozornie bez powodu: czasem zatrzyma się w szczerem polu. Robi to wrażenie, jakby maszynista był drogi niepewny, szukał jej przed sobą. I w pewnem znaczeniu jest tak istotnie. Sygnalizacya jest niedostateczna: w ciemności i w mgle łatwo o spotkanie z którymkolwiek z niezliczonych, mijających nas co chwila pociągów towarowych i osobowych. Czasem biegną obok siebie cztery tory, najczęściej dwa—tyle, ile na danym kawałku linii konkurencyjnych. Najrzadziej jeden tor—znak monopolu naszej kompanii.

Usłużny wiatr zamiótł na chwilę niebo. Śnieg przestał padać. Jasno. Przejeżdżamy przez niezbyt wysokie góry Berkshire'u. Zwykły krajobraz górski: strumyki, wzgórza, pokryte lasami. Latem musi tu być ładnie.

Tunelów niema. Lokomotywy sapią silnie—to wspinamy się pod górę. Pędzimy z zawrotną szybkością—to zjazd bardzo spadzisty. Pociąg pochyla się bardzo silnie na prawo i lewo, świadcząc o karkołomności zakrętów inżynierów amerykańskich.

Znowu przesłania wszystko mgła. Znowu dzwony i jęki — pocóż takie minorowe? Pierwszy raz w życiu czuję obawę jazdy koleją — nieznaną mi w Europie.

Zapada zmierzch, potem noc. W Syrakuzach kuryer pędzi szybko przez główną ulicę miasta. Po obu stronach rzęsiście oświetlone sklepy — biegną tramwaje elektryczne, spieszą piesi. Nigdzie szlabanów, nigdzie żadnego nadzoru, tylko jęki dzwonu i gwizdawki nieustannie ostrzegają. Moja dusza europejska wzdryga się na ten brak porządku.

Około dziewiątej nasz wagon salonowy zamienia murzyn na sypialny. Trudno o coś niewygodniejszego. Łóżka górne i dolne biegną wzdłuż wagonu, zasłonięte portyerami; środkiem idzie kurytarzyk. Mężczyźni i kobiety razem. Znaczy to, że prosta skądinąd funkcya rozbierania się wymaga tu szeregu karkołomnych ćwiczeń gimnastycznych na małej i niskiej przestrzeni łóżka. Albo też wszyscy wypychają portyery i rozbierają się stojąc, od tyłu zasłonięci. Ślicznie wygląda taki szereg wypiętych

portyer—no i trochę ryzykownie—nuż rozsuną się w chwili krytycznej?

I za tę niewygodę płacimy po $5^1/_2$ doll. (11 rb.)! Trzeba zresztą wyznać, że o ile kto przejdzie szczęśliwie próbę rozbierania się, ma łóżko wygodne dobrze posłane, ciepłe. Wagon nic nie trzęsie—niesie doskonale.

Rozmyślam, że wagony Pullmanowskie wynalezione zostały w Ameryce, ale o ileż udoskonalone w Europie! Ten wagon nie znosi zupełnie porównania z wagonami międzynarodowego towarzystwa w Europie. I przypomina mi się zdanie pewnego Amerykanina dosyć krytycznego i bezstronnego, który mówił, że — dzięki systemowi protekcyjnemu— przemysł amerykański zaopatruje rynki wewnętrzne w wyroby wyłącznie tandetne. Znane u nas maszyny, buty, kalosze i wogóle wyroby amerykańskie na eksport, są doskonałe, sprzedawane tanio, podobno nawet niżej ceny kosztu w celu utrzymania marki amerykańskiej i konkurowania z Europą na jej własnym gruncie. Za to tu w sklepach widać tylko najokropniejszą tandetę, względnie drogą, a towary europejskie, jedynie dobre, dostępne są tylko dla bardzo wypchanych kieszeni; cła są olbrzymie.

Może i wagony potwierdzają tę teoryę. Faktem jest, że salonowe, czy sypialne, bynajmniej wygodne nie są, podobne do olbrzymich kojców, bez przedziałów osobnych.

*

* *

Ranek ładny. Znać, że to już Zachód rolniczy Na prawo błyszczy zdaleka tafla Michiganu. Po obu stronach toru kolonie rolnicze: na działce gruntu dworek, zabudowania gospodarskie—wsi w naszem znaczeniu niema, tylko rozrzucone farmy. Uprawa gorsza niż u nas. Tu i owdzie kopczyki—może buraki, które widzę na platformach towarowych. Jakaś gruba trawa czy rodzaj trzciny w kopcach: podobne do końskiego zębu, ale cieńsze.

Reguluję zegarek i widzę z rozpaczą, że mamy dwie godziny opóźnienia. Jakiś uprzejmy towarzysz podróży informuje mnie, że nikt tu nigdy nie liczy na przyjazd punktualny, który jest wypadkiem wyjątkowym. A nasz express jest jednym z najdroższych w Stanach ($27^1/_2$ doll. z Bostonu do Chicago). Ale trudno, skoro taki jest obyczaj... trzeba go znosić cierpliwie. Tylko zanotować trzeba: 1) takie są błogie skutki nieograniczonej konkurencyi kolejowej i 2) wiem już teraz dokładnie, że koleje są tu o wiele gorsze, mniej wygodne i droższe, niż w Europie.

*

* *

...Domki gęstnieją i gęstnieją. Coraz więcej grup domów, coraz mniej ziemi uprawnej. Mijamy olbrzymie, brudne, nędzne południowe Chicago, wielkie puste przestrzenie przecięte tramwajami—to miasto przyszłości. Pierwsza stacya miejska...

15 grudnia.

Chicago—wielka stolica Zachodu—jest ciągle jeszcze w okresie stawania się. Dzięki temu coraz

to urywają się szeregi domów i mijamy puste place, aby dostać się znowu do zabudowanej dzielnicy. Ba—południowe Chicago (South) jest osobnem, zupełnie dużem miastem, oddzielonem od głównego ogromnemi, pustemi przestrzeniami, przeciętemi linią tramwajową. Będzie to kiedyś terytoryalnie największe miasto na świecie. Niektóre ulice, np. Halsted ciągną się na przestrzeni dziesiątków kilometrów.

20 grudnia.

Droga do grodu „śmietankowego" (Milwaukee) jednego z głównych miast stanu Wisconsin, niczem specyalnem się nie odznacza. Biegnie nad jeziorem Michigan, dla wzroku nieskończonem, jak morze.

Gęste domki i zabudowania — to wieś amerykańska, szereg farm; skupień wiejskich niema — tylko fabryczne miasteczka mijamy. Między niemi Zion-City, dzieło „humbugu" i dorobku głośnego nowego proroka, Dowie, leczącego wszystkie choroby przez modlitwę, dziś dogorywającego w Chicago. I sekta, liczna z początku, dogorywa — realny jest tylko majątek proroka.

Milwaukee jest ślicznem, czystem miastem, najładniejszem, jakie dotąd widziałem w Ameryce. Piękne budowle publiczne, ratusz, poczta i inne z wielkim smakiem stawiane. Mieszkańców około trzechkroć, w czem piąta część polaków. Z obcych narodowości prym trzymają Niemcy. Pytano pewnego Amerykanina czy był w Niemczech, a on na to: „Nie, lecz byłem w Milwaukee".

23 grudnia.

Detroit jest to miasto czyste, ładne, bardzo zadrzewione, musi być tu ślicznie latem. Założyli je francuzi przeszło 200 lat temu. Nazwa znaczy po francuska „cieśnina“ i pochodzi od krótkiej a szerokiej rzeki, łączącej jeziora Erie i St. Clair. Na rzece tej niema mostu. Jedna z osobliwości to prom parowy, przewożący wszystkie pociągi, podzielone na sekcye po parę wagonów. Za rzeką panuje król Edward VII — to Kanada. Przejedziemy przez nią nocą, a jutro obudzi nas ze snu huk wodospadów Niagary. O kilkadziesiąt mil dalej znowu Stany Zjednoczone, następny etap naszej podróży Buffalo.

III.

25 grudnia.

Buffalo jest porządnem, czystem miastem, liczącem przeszło czterysta tysięcy mieszkańców. Osada tego nazwiska została założona w 1785 r. przez Polaka, Jana Stadnickiego, członka kompanii holenderskiej, która kolonizowała dzisiejszy stan Nowego Jorku; w aktach znajduje się cesya jego praw i posiadłości na syna Piotra, z 1815 r.; potem ślad ich ginie. Kiedy Buffalo w 1832 r. uzyskało przywilej miasta, oczywiście ich prawa własności zostały ograniczone. Była tu nawet niegdyś ulica Stadnicki's Avenue, dziś przemianowana na Church-street.

28 grudnia.

Washington jest stolicą Stanów Zjednoczonych, a zarazem osobnego terytoryum, maleńkiej

Columbii, ziemi związkowej, nie należącej do żadnego stanu. Columbia rządzona jest bezpośrednio i absolutnie przez trzech komisarzy kongresu (senat i izba reprezentantów) Stanów Zjednoczonych. Mieszkańcy jej są pozbawieni praw wyborczych. Ale dzieje im się dobrze w tem pięknem, czystem i dobrze rządzonem mieście.

Pierwsze miasto w Ameryce istotnie piękne. Niema tam fabryk, niema zgiełku handlowego. Piękne ulice, piękne gmachy publiczne: poczta, kapitol, ministeryum finansów, ministeryum spraw zagranicznych (wierna kopia paryskiego Louvre'u), urząd patentowy — wszystko wedle historycznych wzorów europejskich. Biały Dom, rezydencya prezydenta, niewielki, imponuje swą skromnością.

Położony jest na wzgórzu wśrod dwóch parków. Jeden, White lot, posiada skromny, ale bardzo piękny pomnik Washingtona: obelisk biały, bardzo wysoki, jak kolosalna igła sterczy pod niebiosa. Z drugiej strony Lafayette square posiada dwa piękne pomniki Lafayette'a i Rochambeau na dwóch rogach, nawprost Białego Domu. Na dwóch drugich rogach staną pomniki: Kościuszki i niemieckiego awanturnika De Kolba, w celu zaspokojenia uczuć Niemców w Stanach i zjednania sobie ich głosów przy wyborach, owoc polityki tutejszej. Pomnik ten stanie za pieniądze niemieckie, jak pomnik Kościuszki za grosze polskie. Rząd daje tylko grunt, natomiast Pułaskiemu stawia pomnik swoim kosztem.

ROZDZIAŁ IV.

Wodospady Niagary.

Buffalo, *27 grudnia.*

Z Buffalo jedzie się tramwajem około godziny do miasteczka Niagara Falls.

Pierwsze wrażenie jest wrażeniem rozczarowania. Droga tramwaju elektrycznego biegnie monotonnie, dzielnicami podmiejskiemi, wszędzie w Ameryce jednakowemi i w końcu nudnemi. Tu i owdzie błyska rzeka Niagara, bardzo szeroka, spokojna, o brzegach przeraźliwie płaskich, w niczem nie zapowiadająca cudu przyrody, który oglądać mamy.

Kiedy wreszcie z ust konduktora padnie długo oczekiwana nazwa „Niagara Falls", zniecierpliwiony turysta pragnąłby usłyszeć przynajmniej huk i grzmoty, a dochodzi go tylko jednostajny szum. I próżno spodziewa się, że zaraz po wyjściu ze stacyi oczy jego uderzy olśniewający widok: znajduje się na uliczce dość nędznego miasteczka i dopiero kieruje swe kroki na odgłos szumu.

Pierwszy rzut oka na wodospad pada z mostu, położonego dość daleko. Wyspa, a po obu jej stronach dwa olbrzymie strumienie wody, pod kątem do siebie położone; jeden — prosty, jak prostą jest skała, z której spada, drugi — wygięty w podkowę (stąd nazwa *Horseshoe),* przykryty stale tumanem mgły, a właściwie rozpylonej pary wodnej. A kiedy odwracam się w drugą stronę, widzę rzekę spienioną, płynącą dołem głębokiego a wąskiego ja-

ru; po bokach szereg drobnych, wąskich wodospadów, ale już nie naturalnych: to woda, przeprowadzona kanałami, porusza liczne fabryki; górą idzie dym z kominów. Jesteśmy przecież w przemysłowej Ameryce; przed chwilą rozdawano nam kartki reklamowe z ilością tysięcy koni, które już zużytkowano, które będą zużytkowane i które jeszcze do zużytkowania pozostały. A hasłem kartki jest: „Niagara Falls, przyszłe pierwsze miasto przemysłowe świata"! A mój towarzysz i przewodnik, niestrudzony ks. Bubacz, opowiada, że wkrótce przeniesie się tu z Pittsburga fabryka, zatrudniająca dwadzieścia tysięcy ludzi...

Tak szpecą najpiękniejszy zakątek Ameryki.

*

* *

Był chmurny ranek dnia odwilży. Przyznaję się, że, kiedy stanąłem na moście, zadałem sobie pytanie, po co tu właściwie przyjechałem? Po to, by może powiedzieć, że znam Niagarę? Na to, co prawda, szkoda było kilku godzin drogiego czasu.

Ale niebawem zmieniłem zdanie.

Zeszliśmy niżej, na samo dno jaru, i o parę kilometrów dalej od Niagary. Głębia niezmierna. Skał i kamieni nie widać, mimo to woda pieni się i rzuca wściekle na wysokość kilku stóp. Prąd od wodospadu nurtuje głębinę i wyrzuca na wierzch te góry wody, które niebawem giną w przepaściach. Na dnie jaru nie znać działalności szpecącej człowieka. Rozjuszona woda i skała, którą żłobi wy-

trwale, oto wszystko. Po za hukiem wody cisza majestatyczna. Ze skał zwisają olbrzymie sople lodu. Tu i owdzie kamień pokrył się rudawą, zieloną skorupą, niby mchem skamieniałym. Tu pięknie.

To jeszcze nie Niagara—to wiry, zwane *Whiripool rapids.*

*

* *

Pilno nam dotrzeć do samego środka wodospadu. Zrzucamy futra, ubieramy się w całkowite gumowe ubrania i, oczywiście, fotografujemy się. Winda, podobna do kopalnianych, spuszcza nas w głąb drążonej skały. I znajdujemy się w kutym w skale ganku, osiemset stóp długim. Ten nas doprowadzi do celu.

Pierwszy etap. Wychodzimy na złomy skalisk lodem pokryte. Wąski kawałek, na którym z trudem kilku ludzi utrzymać się może. Przed nami skłębione, pianą pokryte, niezmiernie przepaściste dno Niagary. Po obu stronach spadają olbrzymie, grube na kilka łokci strumienie wody, czyniąc grzmot niesłychany. Pełni grozy, zdumienia wobec potęgi rozszalałego żywiołu, cofamy się. Jeden krok fałszywy i po lodzie można stoczyć się w przepaść. Ale przewodnik czuwa i niepewnymi krokami kieruje.

Drugi etap. W samym środku podkowy. Tu już wyjść nie można, wyrąbano tylko duże okno w ścianie. A przez to okno oblewają nas od czasu do czasu strumienie skroplonej wody, niby gęsty

letni deszcz—biały. Bo tu wszędzie biało. Białe sople na skałach, biały, kłębiący się wir u stóp naszych, białe strugi wody spadają z góry z łoskotem. Poczucie, że się jest w samym środku, w sercu tej potęgi, którą obserwowaliśmy przedtem z zewnątrz, daje wrażenie nie do opisania, splot przerażenia, zachwytu i jakiejś czci bałwochwalczej.

Już nie pytam, po co przyjechałem. Mam wrażenie, niezapomniane na całe życie.

*

* *

Wody jeziora Ontario wlewają się w olbrzymio szeroką rzekę Niagarę, która kilkadziesiąt kilometrów dalej natrafia na wyspę, rozdwaja się i bezpośrednio potem spada z dwóch skał prostopadłych, o wysokości stu kilkudziesięciu stóp. Po prawej ręce Stany Zjednoczone i wodospad prosty, zwany kanadyjskim: tu większy prąd wody wyżłobił w skale trzy tysiące stóp długie wgłębienie w kształcie podkowy, i tam właśnie można zejść pod wodospad. Dalej rzeka już ciągle wzburzona płynie głębokim jarem i wpada do jeziora Erie.

Ten kawałek geografii był koniecznie potrzebny do zrozumienia położenia wodospadu.

*

* *

Byłem potem na wyspie — pośród obu wodospadów. Tu widać je zblizka dokładnie, zewnętrz-

nie. Od strony amerykańskiej spada woda, niby olbrzymia zielona tafla, która trochę poniżej dzieli się na olbrzymie frendzle, tem bielsze, im bliżej dna przepaści sięgają. Woda spada majestatycznie, zdawałoby się na oko, wolno, gdyby się nie wiedziało o jej olbrzymiej szybkości.

Inaczej na stronie kanadyjskiej. Tu, z powodu kształtu podkowy, strumienie łączą się, kłębią odrazu, tworzą wir niejako w powietrzu, nim do przepaści dotrą. To też z góry dna jej nie widać. Widać tylko olbrzymie kłęby rozpylonej wody, słychać grzmoty z tej przepaści, która zdaje się dna nie mieć. A w górze jeszcze ponad tem miejscem unosi się stale biały obłok, który w dni słoneczne mieni się tęczą, złudnym znakiem nadziei nad miejscem gdzie niema nadziei dla nieszczęśliwego czy szaleńca, któryby się aż tu zapędzi...

*

* *

A jednak. jeżeli nie brak nieszczęśliwych, zapędzonych przez wiry, których Moloch Niagary corocznie kilku pochłania, nie brak też i szaleńców, którzy dobrowolnie na niebezpieczeństwa się narażają. Czynią to w pogoni za dolarami — z szaleństwa robią *business*.

Ostatnie wypadki przepłynięcia Niagary przez mężczyznę i kobietę, których nazwisk, co prawda, nie zanotowałem, polegały na tem, że śmiałkowie umieszczali się w beczkach, hermetycznie zamkniętych, wydłużonych, z jednej strony cięższych, tak,

by, ile możności, zajmowały położenie pionowe, staczanych jednak w kierunku poziomym. Oboje wyszli z przeprawy zdrowo i cało.

Niegdyś, kiedy nad brzegami Niagary nie było kominów fabrycznych, lecz szumiały drzewa niebotyczne puszcz nieprzejrzanych, przepływanie Niagary w małych łódeczkach z kory było ulubionym sportem Indyan. Wielu z nich ginęło w walce, ale wielu też lądowało szczęśliwie, i czoła tych śmiałków otaczała aureola bohaterstwa.

*

* *

Teraz, gdyby mnie kto zapytał, czy Niagara jest ładna w znaczeniu np. wymuskanych wodospadów szwajcarskich, odpowiedziałbym bez wahania przecząco. Ładna nie jest, ale jest więcej niż ładna, jest potężna, groźna i majestatyczna.

Na tej wolnej ziemi ludzie stworzyli rzeczy wielkie, olbrzymie. Ale, co prawda, brali przykład z natury. W przyrodzie tutejszej wszystko jest olbrzymie: jeziora, jak morza, rzeki niezmiernej długości i szerokości, góry olbrzymie, niegdyś musiała też być olbrzymią i roślinność. Niagara także uderza swymi olbrzymimi rozmiarami i dlatego dobrze charakteryzuje Amerykę.

Żal mi, że nie będę widział wodospadów Niagary latem, kiedy drzewa, pnące się po brzegach gołych skał, krzewy i rośliny, zieloność i słońce, a zwłaszcza cudne słońce pozbawia może widok grozy, ale niesłychanego dodaje mu uroku. Żal mi,

że nie byłem tam w mroźny słoneczny dzień zimowy, kiedy wodospady jaśnieją wszystkimi blaski, błyszczą drogimi kamieniami i odblaskami obłocznej tęczy.

Ale pod tem ołowianem niebem ogołocona ze wszelkich uroków Niagara streszczała może najsilniej, najwypuklej to pojęcie potęgi, nieposkromionej siły, grozy, którego jest wyrazem.

Raczej była. Bo dziś przychodzi człowiek i nie poskramia wprawdzie żywiołu, ale zaprzęga go do swoich poziomych celów. Żal mi, że wierzę w słowa kartki reklamowej, o zużytkowaniu siły wszystkich koni, zaklętych w potężnych strumieniach. I widzę w przyszłości las kominów fabrycznych i dym, przesłaniający obłok tęczowy...

To już nie będzie Niagara. Same wodospady nawet wydadzą się nie arcytworem przyrody, lecz dziełem rąk ludzkich, może równie potężnem, ale szpetnem.

ROZDZIAŁ V.

Roosevelt u stóp pomnika Kościuszki.

Washington, d. 7 stycznia.

„Wielkiego prezydenta“ poznałem na wystawie modeli pomnika Kościuszki w Washingtonie.

Obu naszym bohaterom narodowym, którzy uczestniczyli w wojnie o niepodległość Stanów, będą wkrótce wystawione pomniki w Waszyngtonie. Jak

losy Kościuszki i Pułaskiego splatały się za życia, tak i dziś splatają się losy obu ich pomników.

Niezbyt łatwo można uzyskać od rządu Stanów pozwolenie na pomnik Polaka: wdzięczność, jak wiadomo, nie jest cnotą z tego świata. Doświadczyli tego nieraz Polacy tutejsi, doświadczyli i teraz z okazyi projektowanego pomnika Kościuszki w stolicy Stanów Zjednoczonych.

Nie z funduszów związkowych stanie pomnik naszego bohatera narodowego; wzniosą go grosze, zapracowane przez namulone dłonie polskie, rząd związkowy zaś rezerwuje się na pomnik Kazimierza Pułaskiego, który wznieść ma kosztem własnym w terminie, bliżej nie określonym. Polacy dostają tylko miejsce na jednym z dwóch wolnych rogów skweru Lafayette'a, z dwóch drugich bowiem spoglądają wprost na Dom Biały spiżowe postacie Lafayette'a i Rochambeau. Ale równocześnie, aby nie obrażać Niemców i, broń Boże, nie stracić głosów niemieckich przy wyborach, przyjęto ich ofertę również: na czwartym rogu stanie pomnik De Kalba, nie bohatera, lecz awanturnika z wojny o niepodległość. Dziwne zaiste sąsiedztwo dla naszego ukochanego Naczelnika!

Rząd związkowy przyjmuje wprawdzie ofiarę Polaków amerykańskich, ale sobie jedynie pozostawia prawo wyboru modelu. Do sądu konkursowego należą: minister wojny Taft, senator Wetmore i członek izby reprezentantów, Mac Cleary, którzy dobrali sobie artystów, jako rzeczoznawców, po to, by wydać wyrok sprzeczny z ich zdaniem.

I w wyborze miejsca pod wystawę modeli znać pewne lekceważenie: umieszczono ją w podziemiu, gdzie skąpo tylko dochodzą promienie rzadkiego tu słońca, a ledwie zagląda dzień szary. A podziemie wybrano w Corcoran Art Gallery, położonej prawie naprzeciwko olbrzymiego gmachu ministeryum spraw zagranicznych, wojny i marynarki, wzorowanym na dziele Katarzyny Medycejskiej, paryskim Louvre'ze.

Nadesłano dwadzieścia modeli. Ale artyści to naród niepraktyczny: wielu zapomniało wygotować odpowiednich papierów celnych. Dzięki temu dwa modele spoczywają dotąd w pakach na komorze, a kilka udało się ze szpon celników uwolnić tylko dzięki niespożytej energii i usilnym staraniom sekretarza komitetu pomnika, p. Sienkiewicza, oraz urodzonego tu i wychowanego d-ra Henryka Kałussowskiego, rektora wydziału farmaceutycznego uniwersytetu w Waszyngtonie, a syna emigranta z 1831 r., którego zbiory, ofiarowane Związkowi Narodowemu Polskiemu, dały początek Muzeum Narodowemu Polskiemu w Chicago.

Zatem znajdujemy na wystawie osiemnaście modeli. Z góry zaznaczę, że między nimi niema żadnego dzieła genialnego, rzucającego się w oczy swoją pięknością; przeważają rzeczy poprawne, czasem zimne, akademickie, czasem znowu nieco rozczochrane. W jednych modelach piękniejsze są akcesorya, w innych postać Kościuszki. Pozwolę sobie zaznaczyć, że większość artystów pojęła zbyt patetycznie, zbyt teatralnie postać tego bohatera, który

był zarazem wzorem skromności i wrogiem zaciętym wszelkiej pozy.

Zacznijmy od modelu pod godłem „Za wolność na dwóch półkulach". Pięknie wygląda ten Kościuszko z dobytym mieczem w jednej ręce, a skryptem w drugiej, postać mocna, pewna siebie. Szkoda, że psują wrażenie pretensyonalne dwa orły na dwóch półkulach z mapami, zwłaszcza jeden, który ma zadziobać węża. I grupy mniej udane: kosynier z Amerykaninem, a druga nieprawdziwa: Amerykanin, rozcinający więzy bolejącego Polaka. Mimo tych usterek, całość jednak robi dobre wrażenie.

Zwraca dalej uwagę kompozycya bez godła, gdzie nad Kościuszką ze sztandarem unosi się orzeł, niestety, wplątany weń. Za to jaka doskonała postać chłopa, patrzącego w górę z przysłoniętemi ręką oczami. Tylko grupa w płaskorzeźbie wokół postumentu, ledwie naszkicowana, nie tłómaczy się dobrze widzowi.

Dobry jest też pomysł przedstawienia Kościuszki, kującego młotem opokę pod skrzydłami orła. A w modelu, opatrzonym godłem „Fort", silne wrażenie wywołuje bohater ze sztandarem w jednej ręce i zaciśniętą pięścią; zda się, że naprzód runie na nieprzyjaciela; i kobieta, wskazująca ku górze, jest bardzo dobra.

Podoba mi się model, który stoi w sali wystawowej na samym brzegu. Obmyślany jest na granit szary, figurę i akcesorya z bronzu. Przedstawia Kościuszkę w surducie, ale ta prostota może więcej bierze widza, niż kapelusze trójkątne i wzniesione szpady, nieraz tylko pozowane, bo ruchu nie

znać wcale. Odskakuje od tej banalności model pod godłem „Ars”, gdzie widzimy Kościuszkę z mieczem wzniesionym i gołą głową, niby idącego do walki. Na innym mamy znowu dobrą, dumną postawę, spokojną zadumę; ręce bohatera skrzyżowane na szpadzie, wzrok biegnie w dal—ku Racławicom, czy Maciejowicom?

Zamknę listę wybitniejszych modeli, jeżeli wymienię jeszcze natchnioną postać Kościuszki i doskonałego zamyślonego kosyniera (godło „Semper”) oraz skromny, może nieco zbyt zimny, ale spokojny i dobrze wykonany projekt, opatrzony godłem „Virtus”.

To i wszystko. Nie można było spodziewać się wszechświatowego udziału w konkursie. Ubiegają się o nagrodę jedynie rzeźbiarze polscy. Tem bardziej należy podnieść poprawność wszystkich modeli, między którymi nie brak dzieł istotnego talentu.

Opuszczałem wystawę z pewnem wrażeniem. Oglądałem kawałek polskiej sztuki, zdawało się, na kawałku polskiej ziemi, wyłączonym z olbrzymiej rzeczypospolitej. Wzmacniały to wrażenie nawet cechy kopciuszkowe tej wystawy, brak ulubionej przez Amerykanów wystawności. I myślałem sobie, że albo nie mamy wielkich rzeźbiarzy, albo nasi wielcy rzeźbiarze nie mają zapału narodowego, skoro konkurs na pomnik wielkiego bohatera naszego nie wydał ani jednego dzieła, porywającego potęgą geniuszu. Może takie dzieła wyłonią się, kiedy będziemy stawiali „Naczelnikowi” pomnik na jednym z placów Warszawy, a nie na obcej ziemi.

*
*   *

Zaraz po Nowym Roku odbyło się posiedzenie konkursowej komisyi artystycznej, do której należeli Lorando Taft, kierownik szkoły rzeźby w Chicago, Daniel Chester French, prezes amerykańskiego stowarzyszenia rzeźbiarzy, oraz Henryk Schrady, autor przyjętego już przez kongres projektu pomnika Granta. Ci zachwycili się odrazu projektem Lewandowskiego z powodu pięknej grupy, okalającej piedestał, i zalecili go do nagrody pierwszej.

Inaczej jednakże postanowiła komisya rządowa. Otóż, uznając wielkie zalety artystyczne projektu Lewandowskiego, zalecając nawet układy z rzeźbiarzem w celu zachowania piedestału pod projektowany pomnik Jeffersona, w danym razie przyznała mu tylko nagrodę drugą, ponieważ rzeczony projekt w stylu nie odpowiada innym pomnikom, okalającym skwer Lafayette'a. Więc pierwsza nagroda została przyznana p. Popielowi, autorowi projektu pod godłem „Za wolność na obu półkulach". Mnie w tym projekcie najbardziej podoba postać Kościuszki, o czem pisałem wyżej. Trzecia nagroda wreszcie będzie przyznana prof. Jul. Bełtowskiemu ze Lwowa, a wzmianka zaszczytna projektowi, opatrzonemu godłem „George".

*

* *

Historya projektów pomników Kościuszki i Pułaskiego jest następująca:

Przed laty kilku, pułk. Smoleński, jeden z sekretarzy wydziału wojny, odnalazł w archiwach po-

stanowienie jeszcze kongresu kontynentalnego z XVIII stulecia, wyznaczające sto tysięcy dolarów na postawienie pomnika Pułaskiemu, dotąd nie wykonane. Dnia 2 kwietnia 1904 r. akt kongresu postanowienie to potwierdził, zmniejszając jednak kredyt do połowy. Do komitetu pomnika zaproszono jako przedstawiciela Polaków p. Helińskiego z Chicago, podówczas sekretarza generalnego Związku Narodowego Polskiego.

Komitet zamierzał wznieść pomnik Pułaskiemu na placu Lafayetta, gdzie można postawić tylko pomnik pieszy. Że jednak z postacią Pułaskiego zrosło się zupełnie pojęcie kawalerzysty, więc Polacy zaprotestowali, proponując równocześnie postawienie na rzeczonym placu pomnika Kościuszki kosztem własnym. Protest uwzględniono i propozycyę przyjęto.

Taką jest geneza projektu pomnika Kościuszki w Waszyngtonie. Zajmiemy się jej dalszym rozwojem, odkładając historyę pomnika Pułaskiego na później.

Rozpoczęły się tedy prace komitetu przygotowawczego złożonego z przedstawicieli różnych stronnictw: prezesem był p. Heliński, sekretarzem p. Wachtel. W sierpniu 1904 r. odbył się II-gi kongres polsko-katolicki w Pittsburgu, który chciał sprawę pomnika wziąć w swoje ręce. Ale uprzedził go komitet przygotowawczy, tworząc komitet centralny z 34 ch osób z różnych stronnictw i zwołując go na 28-my grudnia 1904 roku. Powstały stąd niesnaski; prawica Polonii amerykańskiej usunęła się urzędownie, choć pojedyńczy jej członkowie popie-

rali czynnie sprawę pomnika. Prezesem komitetu centralnego, który do dziś dnia funkcyonuje, został, p. Heliński, wiceprezesem p. M. Stenczyński, prezes Zw. Nar. Pol., sekretarzem finansowym p. Orpiszewski, współpracownik *Zgody*, sekretarzem p. J. M. Sienkiewicz, notaryusz, skarbnikiem pan M. Durski—wszyscy z Chicago. W komitecie reprezentowane są następujące organizacye: Związek narodowy polski, związki sokołów, śpiewaków i młodzieży, związek Polek w Ameryce, prasa polska oraz liczne odrębne stowarzyszenia i organizacye miejscowe.

Komitet zaczął swoją działalność od wydania odezwy, wzywającej polaków do składek. Zebrano 6,000 dol., kiedy w r. 1905 odbył się XVI Sejm Zw. Nar. Pol. w Buffalo, który nałożył na cele pomnika podatek w sumie 2 ct. miesięcznie od członka przez dwa lata. Z tego źródła wpłynęło dotąd około 11,000 dol., a w r. b. wpłynie ze 12 tys. dol., czyli, że ogółem w rękach komitetu znajdzie się trzydzieści tysięcy dolarów z górą. W r. z. ogłoszono konkurs, który dał rezultaty czytelnikom już znane.

Jeszcze parę słów o losach pomnika Pułaskiego.

Komisya kongresowa, której skład podałem wyżej, postanowiła na razie konkursu nie ogłaszać i obstalować pomnik konny u rzeźbiarza polaka, autora pomnika Kościuszki w Chicago, p. Kazimierza Chodzińskiego z Nowego Jorku.

Pierwszy jego projekt został odrzucony z powodu zbyt śmiałej podstawy konia, w bardzo żywym ruchu. Stało się to na zasadzie opinii artystów

i wbrew woli jednego z członków komisyi, posła do izby reprezentantów ze stanu Minnesota, Mac-Cleary'ego. Rozmawiałem z nim: uważa odrzucony projekt Chodzińskiego za jeden z najlepszych pomników, jakie zna, i ubolewa nad odrzuceniem.

Drugi projekt p. Chodzińskiego, który ma być przedstawiony wkrótce, będzie sądzony li tylko przez samą komisyę rządową, bez udziału artystów. Jeżeli i ten będzie odrzucony, zostanie ogłoszony konkurs na pomnik Pułaskiego, dostępny wyłącznie dla rzeźbiarzy amerykańskich. Nagrodę weźmie oczywiście jakiś Niemiec, Włoch, czy Irlandczyk, który bohatera naszego nie zna i nie rozumie.

*

* *

— Prezydent jutro rano będzie zwiedzał wystawę—zagadnął mnie odrazu p. Sienkiewicz, sekretarz komitetu pomnika Kościuszki, jak tylko wysiadłem wczoraj wieczorem z wagonu. Ma pan doskonałą sposobność, aby się z nim zapoznać.

— Skorzystam z niej skwapliwie. Tym razem udało mi się—mam prawdziwe szczęście.

Dziś, wczesnym rankiem, podążyliśmy razem do Corcoran Gallery, aby wszystko na przyjęcie prezydenta przygotować. Miał przybyć na zaproszenie p. Sienkiewicza, zrobione w imieniu polaków amerykańskich. Wizyta wyznaczona była na godzinę dziewiątą rano. My w ubraniach galowych byliśmy na miejscu znacznie wcześniej.

Parę minut przed terminem przybył pułkownik Charles S. Bromwell, dyrektor parków i gmachów publicznych. Jest śliczny ranek wiosenny. Stoimy na wysokim ganku galeryi, z którego piękny roztacza się widok. Na prawo śmiga, niby igła niebotyczna, obelisk Waszyngtona, na lewo olbrzymi gmach urzędu wojny, wierna kopia Louvre'u. Przed nami w oddali Dom Biały, bliżej—wejście do jego ogrodu, skąd za chwilę ma się ukazać prezydent. Wyglądamy go niecierpliwie.

Ale naczelnik olbrzymiej rzeczpospolitej królewską punktualnością się nie odznacza. Po chwili pułkownik rusza na zwiady do Białego Domu, p. Sienkiewicz wraca jeszcze raz obejrzeć, czy wszystko w porządku, a ja siadam w przedsionku.

Naraz wpada portyer.

— He come! He come! (idzie)—woła.

Nie zdążyłem uprzedzić sekretarza pomnika, kiedy szybkim krokiem mignęły obok mnie dwie sylwetki—pułkownika z mężczyzną zaledwie średniego wzrostu, dobrej tuszy, o bardzo żywych ruchach, ubranego w czarny tużurek i cylinder, z rękawiczkami w ręku.

To był głośny na cały świat Teodor Roosevelt.

Pułkownik przedstawia p. Sienkiewicza, a ten mnie.

— Witam pana prezydenta w imieniu trzech milionów Polaków amerykańskich, którzy kochają go i uważają nietylko za wielkiego prezydenta, ale i za wielkiego przyjaciela narodu Polskiego.

— Sprawy Polskie równie mi są drogie, jak Amerykańskie—odpowiada prezydent.

i zaraz z właściwą mu żywością.

— Czy pan jest krewnym znakomitego powieściopisarza?

— Nie, panie prezydencie.

— Czytałem wszystko, co napisał. Mam dla niego cześć, uwielbienie i gorącą sympatyę. Choć pan nie jest jego krewnym, nosi pan jego nazwisko i ma pan także moją sympatyę.

— Pan Włodek, dziennikarz polski z Warszawy—przedstawia mnie p. Sienkiewicz.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że pana widzę... (Angielska formuła powitania).

A ja po francusku.

— Przykro mi, że nie mogę mówić z panem prezydentem w jego ojczystym języku. Pragnę mu podziękować za wielki zaszczyt, jaki mi robi w tej chwili. Jestem wielbicielem pana od czasu, jak tłumaczyłem jego mowy i artykuły [1]).

Jeszcze parę komplementów i idziemy zwiedzać wystawę.

Stajemy najpierw przed pomnikiem pod godłem „za wolność na obu półkulach”, który otrzymał pierwszą nagrodę. Figura Kościuszki doskonała, mocna, pewna siebie—najlepsza. Nie mogę pogodzić się tylko z temi dwiema półkulami z mapami i orłami na nich, jak to zresztą już pisałem.

Ale prezydentowi podoba się ta symbolika. Rozumie orła, strzegącego sztandarów na półkuli amerykańskiej i orła, wydziobującego język wężowi

---

[1]) „Życie wytężone“ „Bibl. Dz. Wyb.“ r. 1904.

na europejskiej. Dwie grupy Polaków z Amerykanami tłumaczą się same i są istotnie dobre.

— Beautiful, beautiful...

Zamiar komisyi uzyskał sankcyę najwyższą. Jutro ostatnie posiedzenie. Pierwsza nagroda—tysiąc dolarów—pewna.

Zatrzymujemy się przed projektem Lewandowskiego, który najbardziej podobał się zaproszonym do oceny artystom. Sąd konkursowy zamierza przyznać projektowi tylko nagrodę drugą—sześćset dolarów—ponieważ styl pomnika nie odpowiada tym które już stoją na placu Lafayette'a. Ale grupa dolna istotnie efektowna, choć zawiła, tak się podoba, że zamierzono porozumieć się z autorem i zatrzymać ją dla pomnika Jeffersona.

To wszystko pułkownik Bromwell opowiada prezydentowi.

— Tak, tak — odpowiada prędko Roosevelt, gestykulując żywo. Ta grupa jest zanadto zawiła dla przeciętnej publiczności, a przecież dla niej stawia się pomniki na placach. I jest zanadto skomplikowana dla takiego pełnego skromności, surowego bohatera, jakim był Kościuszko...

Mijamy projekt prof. Jul. Bełtowskiego ze Lwowa, który otrzymał nagrodę trzecią—czterysta dolarów i projekt opatrzony godłem „Goeorge“, opatrzony wzmianką zaszczytną.

Po drodze zwraca uwagę prezydenta maleńki projekt Biegasa, nadesłany z opóźnieniem, w zeszłym tygodniu. Jest zanadto amerykaninem i realistą, aby miał mu się podobać. Jednakże robi uwagę, że znać w projekcie wielki talent autora.

Dla mnie ten projekt jest bardzo ładny. Kościuszko zadumany patrzy w dal, przysłaniając oczy ręką. Po obu stronach na dole pędzące w cwał konie, z rozdętemi chrapami, a na nich chłopy o twardych twarzach. To jest ta przyszłość, którą bohater widzi. Pomysł — zrozumiały tylko dla polaka i tylko do jego przemawiający duszy. Nie wymagajmy od amerykanina, by go odczuł... Przytem projekt zaledwie naszkicowany.

Po drodze zwracam się do Roosevelta:

— Mam wielką prośbę do pana prezydenta o audyencję prywatną i interview. Byłby to wielki zaszczyt dla mnie i dla pism, które reprezentuję.

— Nie mogę, kochany panie, nie mogę. Prezydent nie może dawać interviewów—mówi z ujmującym uśmiechem. Prezydent boi się, strzeże się dziennikarzy.

I robi ruch ręką—jakby się przedemną bronił.

— Jednak, panie prezydencie, w prasie europejskiej bywały interviewy z panem.

— Zawsze fałszywe, *toujours dèmentis*—odpowiada wesoło.

I pozostaje niemy na parę pytań politycznych, które tu i owdzie potem wtrącam do rozmowy.

Nie idę w ślady moich kolegów po piórze i nie komponuję rozmowy. Wolę się przyznać, że żadnej odpowiedzi na pytania polityczne nie otrzymałem.

Nadchodzi chwila pożegnania. Uścisk dłoni i znowu.

— Byłem tak szczęśliwy poznać pana...

— Ja byłem szczęśliwszy—dodaję sobie w duszy.

A prezydent prędkim krokiem idzie po ulicy.

Widzę go z ganku galeryi. Na drodze jego wszystkie podnoszą się kapelusze, a on każdemu uprzejmym odpowiada ukłonem.

I znika w bramie ogrodu.

Sprobujmy naszkicować jego sylwetkę.

Wbrew portretom wydaje się raczej niskiego wzrostu, może z powodu tuszy. Blond szpakowate, krótko przycięte wąsy i takież włosy. Oczy z za binokli widać mało—ruchliwe są i bystre.

W całej postaci, w ruchach, mowie, gestykulacyi uderza energia, ruchliwość i żywość. To czyni prezydenta podobnym raczej do francuza, lub polaka, niż do dość sztywnych naogół amerykanów. I umysł musi być żywy, ruchliwy.

Zjednywa sobie ludzi niezmiernie ujmującym, ładnym, rozjaśniającym całą twarz uśmiechem, a uśmiecha się często. Uprzejmość wielka i równie wielka prostota przyczynia się także do jego popularności osobistej. Teraz rozumiem tę popularność od chwili, kiedy go poznałem. Rozumiem te okrzyki „Hallo Teddy" (witaj, Teoś!), jakiemi go czasem przyjmuje na ulicy lud prosty.

Dla mnie osobiście dzień dzisiejszy będzie pamiętny na zawsze. Poznałem jednego z największych współczesnych mężów stanu, człowieka, dla którego działalności i poglądów mam cześć, uznanie i gorącą sympatyę.

Szanują go republikanie i demokraci za życie wzorowe i karyerę polityczną nieskazitelną, za usiłowania nie partyjne, lecz istotnie skierowane ku największej pomyślności kraju. Nie dziw, że utworzyła się liga celem ponownego jego obioru, zatem

złamania obyczaju, który nie pozwala na trzykrotny obiór tego samego prezydenta. Nie dziw, że największa rzeczpospolita pragnie utrzymać na swojem czele i nadal pierwszego swego obywatela; że się tak nie stało, Roosevelta w tem wola. Ma może słuszność Wróci kiedyś do władzy z tą samą, co dziś, popularnością.

ROZDZIAŁ VI.

Amerykanie z zewnątrz. — Życie towarzyskie. — Modrzejewska.

Nic można dosyć prostować fałszywego mniemania, jakie w Europie mają o Amerykanach, jako o gburach. Rzecz ma się wprost przeciwnie. W społeczeństwie amerykańskiem przeważają przedewszystkiem cechy kultury anglo-saskiej: innemi słowy, każdy chce być „gentlemanlike"—podobny do dżentelmena, przynajmniej zewnętrznie. Stąd płynie konsenkwencya, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ubierają się naogół porządniej i staranniej, niż w Europie; nawet w oberwańcu spostrzeżecie zawsze pewien szczegół staranności w ubiorze, jakąś iluzyę twardego, niegdyś czystego, kołnierzyka, jakiś wytarty, ale twardy kapelusz, lub błyszczące jak lustro buty. Dalej—jedzą tu ludzie porządniej, zachowują się naogół lepiej, że przypomnę tylko wyszukaną grzeczność dla kobiet, o której pisałem już poprzednio.

Grzeczność i usłużność—niewątpliwa — ma na nowym lądzie zupełnie inne cechy, niż na starym. Nie ma tej posuwistości, łatwego zginania karku, chętnego wywołania uprzejmego uśmiechu na usta. Ale ten sam Amerykanin, który ze skrzywieniem przyjął zapytanie o drogę do danej ulicy, nieraz zboczy z własnej, by dopomóc zapytującemu go przechodniowi. Treść — nie forma — to cecha zasadnicza uprzejmości tutejszej. Nie zapominajmy też o bardzo przyzwoitem zachowaniu się wobec cudzoziemców, o czem świadczy cierpliwe słuchanie ich łamanej angielszczyzny, odpowiedzi powolne i wyraźne.

Dążenie do tego, by być „gentlemanlike" posiada swoje strony ujemne. Ileż to razy pisaliśmy w Warszawie na temat nieużyteczności salonów w mieszkaniach prywatnych, powołując się przytem na przykład zagranicy. Ameryka z pewnością do tej zagranicy nie należy: nawet biedne rodziny robotnicze posiadają zawsze w mieszkaniu pokój odświętnie wywoskowany, na cztery spusty zamykany, rzadko opalany, z wyściełanemi meblami i sztychami. To *parlour*—salon, używany kilka razy do roku do przyjęć gości. Praktyczność okazuje się tu słabsza, niż chęć upodobnienia się do dżentlemanów.

Przeciętne mieszkanie zwykłego śmiertelnika, robotnika czy urzędnika, zarabiającego 80—100 dol. miesięcznie, a więc biednego, składa się zwykle z czterech pokojów w anfiladzie z dwoma wejściami, ale z jednych schodów. Ponieważ place są drogie, więc podwórek niema. Skutkiem tego owe cztery pokoje ciągną się na przestrzał domu: pierwszy, to kuchnia, bardzo porządna, widna, duża i czysta,

bo na gazie, dalej idą zwykle dwie sypialnie ciemne, potem znowu jeden pokój duży i jasny — to zmarnowany *parlour*. Wygoda i hygiena poświęcane są również dla przymiotnika „gentlemanlike".

Zwykły, przeciętny dom na przedmieściu jest drewniany, dwupiętrowy i liczy podobnych opisanemu wyżej mieszkań sześć, każde o dwóch oknach od frontu i od tyłu. Przyszłość w Ameryce należy do dwóch typów domów: kilkunasto, albo i kilkudziesięcio piętrowych „drapaczów nieba", budowanych świetnie z kamienia i żelaza, położonych w śródmieściu i przeznaczonych wyłącznie na biura, oraz najwyżej dwupiętrowych, przeważnie drewnianych domków, wyłącznie mieszkaniowych i położonych jaknajdalej od środka miasta. Typy kamienic europejskich będą wkrótce należały do przeżytków. Bo lekarz, adwokat, inżynier nie przyjmuje w domu, jak w Europie, mieszka na krańcu miasta, a ma swój „ofice", czyli biuro, w jego centrum, w jakimś olbrzymim „drapaczu nieba". Mowa tu oczywiście o wielkich zawodowcach; każda dzielnica ma prócz tego swoich, ale i ci najczęściej mają pokoje przyjęć zdala od domu rodzinnego. Takie urządzenie życia jest możliwe jedynie dzięki różnorodnej i bardzo ułatwionej, a szybkiej komunikacyi; przyczyną jest niesłychana drożyzna śródmieścia.

*

* *

Przypatrzmy się teraz z kolei, jak żyją ludzie zamożni. Mieliśmy dwa listy polecające do milione-

rów: jeden do Mr. Perkinsa, wspólnika głośnego Morgana w Nowym Jorku, drugi do Mr. Creene'a, właściciela wielkiej fabryki rur w Chicago. U Perkinsa byłem sam; przekonałem się, że umie mówić tylko po angielsku (bywając prawie co rok w Europie, nawet w Warszawie). Dalszych stosunków z nim zatem już nie szukaliśmy, wobec niemożności porozumienia się wzajemnego.

Mr. Creene ma specyalną sympatyę dla Polaków; w zbiorach swoich ma dużo obrazów Polskich; w fabryce wielu robotników Polaków; zna Warszawę, z którą utrzymuje stałe stosunki handlowe. Przyjął ks. Gralewskiego po amerykańsku, niezmiernie chłodno, ale w tej chwili ofiarował mu gościnność w najwykwintniejszym klubie w Chicago, z której zresztą ks. rektor nie korzystał, wedle sił i możności uprzyjemniał mu pobyt i zachowywał się ze szczerą, zupełną serdecznością.

Otóż w jego domu byliśmy na „five o'clocku", wydawanym z okazyi wejścia w świat jego siedemnastoletniej córki.

Był dość dżdżysty wieczór, kiedy znaleźliśmy się na Michigan-Avenue, ulicy milionerów chicagoskich. Przed skromnym, ale ładnym domem jednopiętrowym z mansardami stało kilka automobilów i kilka powozów. To pałacyk Creene'a.

Wchodzimy. Drzwi otwiera lokaj we fraku; drugi u drzwi salonu anonsuje gości. W przedpokoju—właściwie długim kurytarzu wita nas po francusku gospodarz. Nigdzie niema wieszaka. Co robić z paltotami, kaloszami, parasolami? Mr. Creene gestem wskazuje na schody.

Ale na górze tylko kilkoro drzwi—znowu niema nic do wieszania. Ks. rektor śmiało otwiera pierwsze lepsze. Okazuje się—sypialnia. Rzucamy zwierzchnie ubrania na łóżko, ja—przyznaję—ze strachem, bezpotrzebnym, jak się okazało, bo kiedy mieliśmy wracać do domu, zastaliśmy całe łóżko zawalone garderobą męzką i damską.

Po zaanonsowaniu, znajdujemy się przed obliczem pani i panny Creene, przyjmujących gości, stojąc, w pierwszym salonie. Pani—dosyć prosta—mówi tylko po angielsku, więc wzajemnie przeważnie uśmiechamy się tylko. Panna—świetnie ułożona, wysoka, zgrabna, bardzo przystojna szatynka—mówi wybornie po francusku, możemy więc zamienić zwykłe komplementy. Obie ubrane biało, bardzo starannie i kosztownie; mają na sobie dużo i cennych klejnotów. Nie można im wiele czasu zabierać: już czeka dalszy sznur gości — idziemy dalej.

Dół zajmuje pięć pokojów do przyjęć—jeden z nich jadalny, gdzie mieści się bufet: kawa, herbata, dużo słodyczy, wspaniałe owoce. Te salony—to w europejskiem znaczeniu klitki, największy jest mniejszy od banalnego warszawskiego saloniku o dwóch oknach. Na posadzkach grube i cenne dywany. Nic na pokaz: artystycznej roboty cenne sprzęty, piękne obrazy trzeba odkrywać samemu. Zbytek zewnętrzny — to tylko kwiaty i rośliny; mieszkanie jest niemi literalnie zalane. Mamy grudzień, a nie brak fijołków, róż, narcyzów, konwalii, bzów, nie mówiąc o tuberozach, krzakach kamelii, chryzantemach, tulipanach i t. d. Stąpamy literalnie wśród kwiatów. Jest to rodzaj zbytku, który naj-

bardziej może trafia mi do przekonania: kwiatów ludziom bogatym zazdroszczę najmocniej.

Zaledwie wchodzę do drugiego salonu mam zdarzenie poprostu niesłychane. Jestem pierwszy raz w życiu w Chicago, pierwszy raz w domu amerykańskim i... pierwsza osoba, którą spotykam — to znajomy, mr. Harper, syn znakomitego uczonego, rektora uniwersytetu w Chicago, korespondent i kolega mój z loży dziennikarskiej Izby peterburskiej. Kiedy mnie zobaczył, myślałem, że się zamienił w słup soli; ze zdumienia zaniemówił. A byliśmy w przyjaźni. I teraz niedawno dopytywał się o mnie posłów polskich. Niestety, losy tak zrządziły, że nie zasiadam w tym roku obok niego w loży dziennikarskiej.

— Widzi pan tutaj — mówi mi po chwili we framudze, dokąd schroniliśmy się przed tłumem, który dosłownie tłoczy się we wszystkich salonach i przy bufecie — nietylko wszystkich bogaczów, ale i przedstawicieli inteligencyi, państwo Creene bowiem tem się odznaczają, że licznie bardzo przyjmują pedagogów, profesorów, lekarzy, adwokatów i t. d. nie tak, jak inni...

Tu usłyszałem różne szczegóły o obecnych, nie przedstawiające większego interesu. Poznałem się z wielu osobami, ale wymienione słów parę nie przekraczały granic banalności. Notuję, że panie ubierają się bardzo strojnie, przeważnie biało, noszą dużo klejnotów; panowie różnie — od marynarki do smokinga. Sporo ładnych twarzy.

Po chwili rozmawiam po polsku z piękną, wy-

soką blondyną. To pani inżynierowa Modrzejewska, synowa sławnej artystki. Zaprasza nas do siebie.

Czas już do domu. Żegnamy się, wychodzimy. I wiecie, co nas najbardziej zaciekawia? Dlaczego w domu milionera niema gdzie ulokować rzeczy, dlaczego niema wieszaków, kontramarkarni, służby przy paltotach? Na to interesujące pytanie nikt nie dał nam odpowiedzi.

*
*   *

Tramwajem, koleją nadziemną, piechotą, ekspresowym pociągiem podmiejskim dostajemy się do dzielnicy, gdzie mieszkają pp. Ralfowie Modrzejewscy. Podróż trwa półtorej godziny, a do końca Chicago daleko...

Śliczna dzielnica—pięknie tu musi być na wiosnę. Małe domki prywatne otoczone drzewami. W jednym z tych miłych *cottage'ów* mieszkają właśnie nasi gospodarze. Pokoje małe, ładnie urządzone, znać, że polskie—przeważa bowiem styl zakopański i swojskie kilimy.

W salonie przedstawiają mnie wysokiej blondynce, o pięknej, młodzieńczej figurze, wyrazistych oczach, której możnaby dać na oko lat przeszło czterdzieści. Jak idealnie piękną musiała być ta twarz, którą czas nieubłagany pokrył siecią zmarszczek koło ust i na skroniach! To Modrzejewska.

Uderzyła we mnie fala wspomnień młodzień-

czych. Lat temu dwadzieścia dwa byłem uczniem klasy siódmej. Największą rozkosz stanowił dla mnie teatr. W odstępach kilku tygodni widziałem z najwyższego piętra paradyzu w „Damie Kameliowej", „Adryannie Lecouvreur", „Angelo Malipieri", „Dalili"—dwie największe tragiczki: Modrzejewską i Sarę Bernhardt. Pierwsza podobała mi się o wiele lepiej. Kochałem się w niej poprostu. Kiedy wyjeżdżała, byłem na dworcu, szczęśliwy, że mogę ją oglądać zdala, otoczoną koszami kwiatów i wieńcem wielbicieli...

Potem... przed dwoma laty widziałem „boską Sarę" w „Orlątku", a dziś rozmawiam z Modrzejewską. Boże! ileżbym dał za to przed dwudziestu dwoma laty!...

Oczywiście—interview.

— Grywam obecnie tylko trzy role—mówi mi Modrzejewska — Damę Kameliową, Maryę Stuart i Lady Macbeth. W przerwie między jedną „tournée" artystyczną i drugą odpoczywam teraz trochę u dzieci. Wkrótce rozpoczynam znowu objazd: przez Columbus, Louisville, Boston i inne miasta przyjadę do Chicago, gdzie występować będę w końcu kwietnia—na samym końcu wycieczki.

Szkoda — teraz grudzień — nie zobaczę naszej wielkiej artystki na scenie.

— To już po raz ostatni—dodaje.

Wspominamy, że warto byłoby odwiedzić Warszawę.

— Nie wolno mi do was przyjechać. Zakaz władzy. Spowodowany mojem wystąpieniem przeciw Rosyi na kongresie kobiecym, tu, w Ameryce...

— Przecież teraz możnaby zakaz znieść...

— Zapewne, ale u was, w Warszawie, niespokojnie, bomby.

— Chcemy na stare lata wrócić do kraju—wtrąca mąż artystki, p. Chłapowski. Sprzedaliśmy naszą posiadłość w Kalifornii. Ale nie wiemy, gdzie się ulokować. W moich stronach rodzinnych, w Poznańskiem, niemożliwe stosunki z powodu Prusaków. W Warszawie — człowiek życia niepewny. Galicyi żona nie lubi...

Rozmowa schodzi na wieści z kraju i o kraju. Pani Ralfowa Modrzejewska corocznie spędza parę miesięcy w kraju, w Zakopanem przeważnie. Gawędka toczy się mile; swobodnie mija parę godzin w gościnnym domu.

Trzeba uciekać z powrotem...

Takie były jedyne moje dwa wrażenia z życia towarzyskiego amerykańskiego i polskiego w Ameryce.

ROZDZIAŁ VII.

W powrotnej drodze.

12 stycznia. Dziś opuściłem ziemię amerykańską, tyle chwalony „nowy kraj". Jestem na statku „König Albert", należącym do firmy „Norddeutscher Lloyd". Wracam więc znowu statkiem niemieckim — niestety, te są, według zgodnych świadectw wszystkich, najlepsze.

Z „Ameryką"—różnica olbrzymia. Najpierw—w objętości: zamiast czterdziestu — jakieś marne

dwadzieścia tysięcy tonn; dalej w szybkości—robimy tylko 340 mil dziennie i zużyjemy na drogę do Genui aż trzynaście dni; wreszcie w urządzeniu, zwłaszcza klasy drugiej. Jest to statek już niedzisiejszy, liczy bowiem siedem lat życia; budowa okrętów takie czyni postępy, że typ jego już jest przestarzały.

Mamy na pokładzie 500 pasażerów klasy IV, 180-u pierwszej i 90-u drugiej, także masę ładunku. Jedziemy przez Gibraltar, Neapol, gdzie będziemy stali przez półtora dnia w celu wyładowania towarów, do Genui.

Prawie zaraz, jak tylko stanąłem na pokładzie, miałem wrażenie, że wstąpiłem na grunt europejski i że jestem w małem miasteczku. Zaledwie ulokowałem się jako tako w kajucie i z kwaśną miną skonstatowałem, że mam czterech współlokatorów, zjawia się starszy steward i zaczyna od obmowy nieznanych mi jeszcze towarzyszów podróży: „To całkiem ordynarni Włosi, zupełnie nieodpowiednie towarzystwo dla pana". A kończy propozycyą ulokowania mnie samego w kajucie pierwszej klasy, oczywiście za odpowiedniem wynagrodzeniem.

W ciągu dwumiesięcznego pobytu na wolnej ziemi Kolumba, czy Jana z Kolna, odzwyczaiłem się nieco od podziału ludzi na bardziej i mniej, czy wcale nieordynarnych. Ale „starokrajskie" przesądy są we mnie silnie zakorzenione; mam przytem wspólne zapewne mieszkańcom obu pókuli zamiłowanie wygody; więc przyjmuję chętnie propozycyę, dzięki czemu będę miał drogę dosyć znośną.

Wyjazd z Nowego Jorku nie ma tych cech uroczystości, co z Europy. Przedewszystkiem dlatego, że odbijamy bezpośrednio od lądu, z olbrzymich, całych z żelaza zbudowanych doków. Dzięki temu pasażerowie przybywają do ostatniej chwili; jeszcze gdy mają ściągać mostki wpada z pakunkami jakaś zadyszana miss i śpieszący młody człowiek. A kiedy rozlega się odgłos dzwonu, okazuje się, że na statku mamy więcej odprowadzających, niż pasażerów. Ci opuszczają tłumnie statek bez łez, bez czułych pożegnań—nic dziwnego, żegnają przeważnie turystów, dążących do Europy dla przyjemności.

Zresztą, muzyka gra wesołe marsze, jak zwykle. Parę ruchów statku i—ruszamy, a po paru godzinach jesteśmy na pełnem morzu.

Towarzyszą nam najdłużej olbrzymie stada mew, unoszące się nisko nad morzem. Po śniadaniu, po obiedzie, kiedy kucharze najwięcej wyrzucają odpadków, ciskają się na nie żarłocznie, bijąc się nieraz o łupiny od kartofla.

Pogoda fatalna. Od samego rana deszcz leje niemiłosiernie. Śliczne, słoneczne dni wiosenne—ostatnie dni mego pobytu w Nowym Jorku zepsuły się.

13 stycznia. Mam dosyć czasu do rozmyślania o całej mojej podróży, do rzutu oka wstecz na Amerykę. Nie mogę powiedzieć, żebym tęsknił do niej. Nieraz podnosiłem i jeszcze podnosić będę dodatnie strony życia tamtejszego. Ale muszę powiedzieć, że miłem miejscem pobytu Ameryka nie jest. Myślę, że nie mógłbym się nigdy przystosować, zaszczepić na gruncie amerykańskim; zawsze tęskniłbym do starej

Europy. Może już jestem za stary na tak radykalną zmianę warunków. Albo poprostu—powiedzmy otwarcie— „stary kraj” jest milszy: dowodzą tego sami amerykanie, którzy całe miesiące spędzają w Europie, jak tylko trochę się dorobią.

Ile razy opuszczałem po dłuższym pobycie jaką obcą ziemię, Szwajcaryę czy Francyę, Włochy czy nawet Finlandyę, zawsze czułem pewien rodzaj tęsknoty, rodzaj wdzięczności za chwile tam przepędzone. Tu — nic podobnego: wsiadałem na statek z niczem niezmąconą radością, a Europy poprostu doczekać się nie mogę. Uczucie podobne miałem tylko podczas powrotu z podróży do Rosii, coprawda nie dobrowolnej. *Les extrêmes se touchent* — mówi przysłowie. A ja myślę, że i w jednym i w drugim wypadku miałem do czynienia z warunkami życia zbyt obcymi, tak obcymi, że uniemożliwiały wszelkie choćby chwilowe przywiązanie.

A więc, niech żyje stara Europa!

Nie mogę tego zastosować do wszystkich jej mieszkańców, reprezentowanych na okręcie. Włosi np. są bardzo mili u siebie, we Włoszech, gdzie dobrze robią w krajobrazie, gdzie wrzaskliwość ich, wielomówność, powiedzmy ordynarność nie razi pod tem cudnem słońcem, które wszystko krasi, wszystkich rozwesela, wszystkiemu nieprawdziwe, piękniejsze nadaje barwy. Ale na ograniczonem terytoryum statku (w klasie drugiej przeważają olbrzymio włosi) są poprostu nieznośni. Dzięki nim nigdzie nie można utrzymać porządku, na schodach ani w palarni, nawet w sali jadalnej, bo jedzą niesłychanie nieporządnie. Wszędzie też słychać wrzaski; krzyczą do

siebie przez stoły, grają w karty hałaśliwie, co nudzi i męczy.

Chwilami tylko wśród tej głośnej publiczności zalega cisza. Wtedy, kiedy zgrupuje się kilku przy fortepianie z gitarami, mandolinami, inni śpiewają—słyszymy piękne pieśni ludowe, lub urywki z oper włoskich, wykonywane z tem brio, z tą muzykalnością, tylko włochom właściwą. I głosy dobre, i śpiewacy i muzycy muzykalni—szkoda, że ich cały dzień nie można zatrzymać przy fortepianie.

Siedzę przeważnie u siebie w kajucie. Na pokładzie pusto, bo towarzyszy nam ciągle zimno i deszcz.

17 stycznia. Parę bardzo lichych dni. Zerwał się silny wiatr z deszczem. Morze było bardzo burzliwe. Przeleżałem ten czas w łóżku. Nie chorowałem, normalnie jadłem i piłem, ale w łóżku. Każde usiłowanie stanięcia na nogach kończyło się zawrotem głowy, czasem upadkiem i z konieczności powrotem do łóżka.

A noce były najgorsze. Okręt huśtał się we wszystkich kierunkach. Kiedy tył kadłuba wznosił się w górę, słychać było uderzenia śruby w próżni, uderzenia, od których drżał cały statek. Świst wichru, nieustanny szum bałwanów, grzmot w chwili, kiedy rozbijały się o statek, zalewając pokład najniższy, oto muzyka, której nasłuchaliśmy się przez trzy dni i trzy noce, wzmagająca się i straszniejsza w nocy.

Straszniejsza — bo przy świetle lampy, przy względnem uciszeniu zwykłych większemu zbiorowisku ludzkiemu szmerów i dźwięków, łatwiej mo-

że rozigrać się wyobraźnia, której dzienne życie rzeczywiste silne zakłada wędzidła. Rozhulana—coraz to nowe snuje widziadła.

...Oto wściekła fala wyłamała ścianę kajuty. Strumieniami wlewa się woda. Wyskakuję z łóżka i biegnę na kurytarz z krzykiem. Woda za mną: już mam jej po kolana. Uderza dzwon alarmowy... Spuszczają szalupy. Tłok, ścisk, wrzask przerażonych kobiet i dzieci. Wreszcie i ja znalazłem miejsce. Zgłodniali, zziębnięci, nawpół przytomni dni kilka błądzimy po morzu, aż nareszcie zabiera nas na pokład napotkany statek. Dają mi kajutę... zasypiam...

Po chwili budzę się. Kołysanie, drżenie statku, miarowy, wolny stukot zmęczonej maszyny, tak zmęczonej, że zda się widać ją okrytą potem. Wszak to ta sama kajuta? A tamto?—widziadła nawpół we śnie, nawpół na jawie...

Niema i nie może być w nich nic realnego — nie byłem bowiem nigdy w położeniu rozbitka. Materyały snu—jawy czerpie wyobraźnia z wspomnień czytanych opisów podróży i romansów podróżniczych. A że te zawsze kończą się dobrze, pierwsze, bo inaczej nie byłoby autora, a więc i spisanych wrażeń, a drugie... drugie, żeby było przyjemniej czytać, więc... zakończenie widzenia jest dobre — ratunek przez napotkany statek.

A w chwili, kiedy miałem uciekać z kajuty najbardziej męczyła mnie myśl, co zabrać ze sobą, futro czy paltot i czy wziąć kalosze ze względu na wilgoć...

Próbowałem również zastanawiać się chłodno nad tem... czy istnieje realne niebezpieczeństwo? Odpowiedź wypadała oczywiście zawsze przecząco; ilość wypadków na statkach jest stosunkowo mniejsza, niż na kolejach żelaznych, gdzie przecież nikt się nie obawia. Źródłem strachu w podróżach morskich jest przedewszystkiem brak przyzwyczajenia (ileż to znamy ludzi, którzy przed laty woleli jeździć końmi, niż koleją), dalej poczucie zupełnej samotności i bezsilności wobec rozszalałego żywiołu, wreszcie absolutna niemożność przerwania podróży. Według mnie ten ostatni pierwiastek najwybitniejszą odgrywa rolę.

Można nie podróżować morzem—ale z chwilą, kiedy się wsiądzie na statek, trzeba podróż znosić taką, jaka jest; wola żadnej absolutnie nic gra tu roli. I dlatego niepomyślną podróż morską można porównać do choroby, z równie niezdrową wątpliwością ostatecznego rezultatu. A podczas burzy uczucia podróżnego podobne są do uczuć pacyenta, którego czeka stanowcza operacya. Tak przynajmniej było zemną; ileż to razy kajuta wydawała mi się celą szpitalną.

Człowiek szuka zawsze winnego każdej niedoli. Ja winę za burzę składam na statek i jego kapitana. Czemuż nie pojechałem „Ameryką" razem z ks. rektorem i d-rem Kowalskim! Jakąż oni mieli racyę, że wybrali ten doskonały, olbrzymi okręt! Naturalnie, taki olbrzym jest zupełnie bezpieczny, nie tak, jak nasza łupina. A co za urządzenia! — wdzięczna pamięć rysuje tamten statek, jak wyspę czarodziejską...

Takie i tym podobne myśli gnębiły moją trzydniową samotność.

Dziś już jest znacznie spokojniej. Ale czas brzydki, chociaż ciepło; znać, że dążymy ku krainom południowym:

18 stycznia. Morze się nieco uspokoiło. I chociaż pochmurno, deszcz tylko chwilami pada.

Pod wieczór mijamy wyspy Azorskie. Dwie gołe baszty skaliste, dwa nasypy, rzekłbyś sztuczne—między nimi długi pas ziemi górzysty, pokryty świeżą zielenią—oto obraz największej. Stok wzgórza gęsto białymi domkami pokryty, nad zatoką amfiteatralnie wznosi się miasto—białe z plamami kolorowemi dachów— jak wszystkie miasta południowe; wystrzelają w górę, niby iglice, białe wieże kościołów.

Kiedy zatrzymujemy się chwilę obok drugiej wyspy, by oddać pocztę, już zapadła noc; światełka za mgłą migocą w oddali, niby gwiazdy.

Niepodobna opisać przyjemności, jakiej doznaje podróżny, kiedy po paru dniach pobytu na pełnem morzu zobaczy nareszcie kawałek lądu stałego, choćby nawet nie miał wylądować. Jest to uczucie ogólne; radość maluje się na twarzach wszystkich pasażerów, którzy tłumnie wylegli na pokład i z żalem żegnają mijane nieznane wyspy.

21 stycznia. Nareszcie czujemy, że jesteśmy na południu. Od wczoraj wypogodziło się zupełnie. Słońce przygrzewa mocno. Na dole prawie zupełnie gładka, ciemno-błękitna tafla oceanu, nad nami błękitne, czyste sklepienie południowego nieba.

Zaroiło się zaraz na wszystkich pokładach — trudno niemal znaleźć miejsce. Stoję na najwyższym pomoście i ogarniam całą olbrzymią przestrzeń, którą okiem ogarnąć można. Nigdy nie miałem takiego fizycznego, zupełnie realnego poczucia kulistości ziemi: nieboskłon wydaje się prześlicznem, rozpiętem nad nią sklepieniem.

Oto chłodny powiew wiatru zapowiada blizki zachód słońca. Pomarańczowa tarcza stacza się powoli; coraz to szczuplejszym staje się płaszcz złocisty, pokrywający część morza; wreszcie słońce zsuwa się zupełnie, jakby tonęło w oceanie. A równocześnie na wschodniej stronie zapada mrok, we wspólnym mglistym konturze, zaciera się wyraźna linia horyzontu, odcinająca morze od nieba.

Ale jeszcze nie na dobre; jeszcze nastąpi słabe odbicie dnia. W parę chwil po zachodzie zagorzały czerwonem światłem kresy horyzontu; ocean przez mgnienie oka także goreje, potem staje się fioletowy, granatowy, wreszcie razem z niebem powleka się barwą stalową — ciemniejszą u dołu, jaśniejszą ku górze. To już noc.

Ale nie ciemna. W parę godzin wychodzę znowu na pokład. Na niebieskim prawie stropie lśnią tysiączne gwiazdy, z wysoka zlewa księżyc strumienie jasnego światła. Tak cicho, spokojnie... morze nawet nie zmarszczone wygląda prawie jak ciemna tafla lodu, błyszcząca jasno, tam, gdzie pada światło księżycowe. Statek sunie szybko, ale bez wysiłku, prawie bez szelestu, jak okręt widmo w noc czarodziejską. Tylko jak oracz niestrudzony zostawia za sobą długą, srebrzystą smugę, bruzdę,

którą zaciera wkrótce niby spokojne, a zawsze jednak ruchliwe morze.

Takie dni i takie noce niweczą wszelkie przykre wspomnienia morskiej podróży, wlewają dziwne ukojenie, dziwną wdzięczność i pokój duszy.

*

* *

Rozrywki współpasażerów niezawsze sprzyjają takiemu ukojeniu. Wczoraj np. wieczorem mieliśmy koncert gramofonu. Musiałbym cofnąć wszystko, co mówiłem o muzykalności włochów, gdyby nie to, że promotor popisów wyglądał mocno na agenta firmy gramofonów. Ciekawym... czy żądza zarobku zwycięża wrodzoną muzykalność, czy może on szczerze chwalić piękność muzyki swego towaru?

Czyście często przeklinali gramofony, zwłaszcza na letnich mieszkaniach?—bo ja robiłem to bardzo często. Ale czy zdarzało wam się słuchać skrzekliwych popisów w wesołem, w wyjątkowo dobrem usposobieniu? Właśnie tak było ze mną wczoraj. I śmiałem się do łez ze schrypniętych tenorów i sopranów, z twardych, jakby staroświeckich, dźwięków fortepianu, ze zgrzytliwych tonów skrzypiec — przepuszczonych przez filtr maszyny. Było też to święto nielada dla licznej dziatwy, która z szeroko otwartemi oczami przypatrywała się raczej, niż przysłuchiwała różnym „kawałkom”. Ładne, przeważnie czarne oczy i kędzierzawe główki przyszłych bandytów, tenorów, czy harfiarek, lub mandoliniarek. Takimi przedstawiają nam się wszyscy włosi, dziś

przecież pracowici kupcy i rzemieślnicy, targujący się coprawda i pracujący z takiemi minami, jakby za chwilę dobyć mieli nożów.

Dziś zrana widzieliśmy piaszczyste brzegi Portugalii, mijaliśmy przylądek Vincenti'ego. Przez cały dzień spotykaliśmy masę statków, przeważnie towarowych. Ukazały się też znowu stada mew. Ziemia blizko.

W nocy dotrzemy do Gibraltaru; jutro stanę znowu na gruncie kochanej, starej Europy. Po całodziennym postoju — wieczorem, dalej do Neapolu, gdzie będziemy we czwartek, a w niedzielę rano w Genui. Mamy dwudniowe blisko opóźnienie z powodu burzy.

22 stycznia, na morzu Śródziemnem. Wjeżdżaliśmy do Gibraltaru w nocy. Na tle jasnej nocy księżycowej wystąpiły ciemniejsze pasy: to brzegi Hiszpanii, potem po prawej stronie zamigotały w oddali światełka na brzegu afrykańskim. Wreszcie — coraz wyraźniej rysowała się przed nami ciemna, wysoka masa, u dołu gęsto pokryta światełkami. To właśnie Gibraltar. Statek znacznie zwalnia biegu, co chwila mierzy głębokość, wreszcie staje. Dziś już nie wylądujemy. Trzeba iść spać.

„O wschodzie słońca ryknęły spiże"! — a raczej nie spiże, tylko trąby mosiężne, zwołując nas na śniadanie już o 7-ej rano, więc właściwie przed wschodem słońca.

Kiedy wyszedłem na pokład, pierwsze promienie jutrzenki złociły i czerwieniły brzegi zataczającej prawie koło zatoki. Za nami, w oddali, zupełnie dokładnie widać brzegi Afryki — przed nami goła,

stroma, dzika skała, do której dołu, jak gniazda przyczepione małe, białe domki. Naokoło szereg różnych miasteczek i osad, już w Hiszpanii, a między niemi Algeciros, które miało swoją chwilę sławy. Powietrze przesycone błękitem wszelkich odcieni.

Mamy tylko kilka godzin czasu, opuszczamy bowiem Gibraltar już o pierwszej po południu. Udajemy się tłumnie na ląd małym parowcem, który też nas potem o południu odwiezie.

Cały Gibraltar jest to właściwie wąska ulica, od której idą pod górę równolegle wąziutkie schodki, zwane uliczkami. Na ulicy głównej ruch duży: obok siebie dążą przechodnie, muły, objuczone najróżnorodniejszymi ciężarami, począwszy od kwiatów i owoców aż do kamieni, małe powoziki, również w muły zaprzężone i t. d.

Tu już znać wschód, znać, że po drugiej stronie cieśniny pozostały szczątki dawnej potęgi maurytańskiej—Marokko. Dwa targi—maurytański i hiszpański: na pierwszym malownicze postacie maurów: ładne spalone słońcem twarze o regularnych rysach, kształtne figury; strój—to rodzaj naszej szarej burki, albo raczej guńki góralskiej, zarzuconej bez rękawów na pięknie udrapowaną koszulę, czy prześcieradło, przeważnie tylko niegdyś i teoretycznie białe. Na nogach bosych kolorowe pantofle; młodzi eleganci noszą czarne pończochy i sznurowane trzewiki, oczywiście europejskiego pochodzenia. Głowy ubierają w czerwone fezy, rzadziej czerwone z białem turbany.

W tłumie tym snują się gęsto angielscy żołnierze w mundurach koloru „khaki" z charakterystycznemi trzcinkami w ręku. Gdzieniegdzie czerwoną plamą wykwita postać oficera lub podoficera. Dziś szczególnie dużo widać wojska, bo to jakieś święto angielskie. Okręty wojenne, przystrojone flagami — tak samo forteca, a w południe słyszymy szereg salw armatnich.

Oczywiście idę oglądać fortecę. U wejścia zapisuję się do książki i czekam na sierżanta - przewodnika. Nikogo jakoś więcej niema—idziemy sami; znowu jestem skazany na łamaną angielszczyznę. Dowiaduję się przedewszystkiem, że najciekawsze galerye i przejścia wymagają osobnego pozwolenia gubernatora—są więc dla mnie zamknięte. Naturalnie—Anglicy nie będą przed każdym wyjawiali tajemnic swej niezdobytej twierdzy.

Mimo to—wycieczka nie jest humbugiem. Podziwiam stare, dwusto- i trzechsetletnie mury, podstawę fortyfikacyi, dalej — wspaniałe i niezmiernie długie galerye, wykuwane w skale już przez Anglików od 1783 r. i dalej—wszędzie są daty. Do końca labiryntu, na szczyt góry wyjść mi nie wolno, zatrzymuję się więc u ostatniego, drążonego w skale okna, z którego wspaniały roztacza się widok na oba morza i na wąski pas piaszczysty, łączący skałę z lądem. W tem cudnem południowem świetle, pokryta różnemi dzikiemi pnączami, tu i owdzie jaskrawo kwitnącemi — niezdobyta skała robi raczej wrażenie zakątka uroczego, niż ponurego fortu — trudno się z tem przeznaczeniem pogodzić.

Ale uderza tymczasem godzina powrotu. W porcie rojno i krzykliwie. Waleczni potomkowie Almanzora rywalizują dziś ze swymi ciemięzcami-hiszpanami tylko w naciąganiu i oszukiwaniu przyjezdnych. Od natrętnych przekupniów opędzić się nie można, a kto na kupno się zdecyduje, musi dobrze przypatrywać się reszcie w tym prawdziwie międzynarodowym porcie, gdzie kursują wszystkie literalnie monety, ale również licznie i fałszywe. A kiedy oszukany turysta gniewa się, dzieci Wschodu spoglądają na niego ze zdumieniem: przecież w handlu niema gniewu, a skoro spostrzegłeś oszukaństwo — to twoje szczęście: chętnie je zaraz naprawią.

Wsiadamy tłumnie, tak tłumnie, że boję się, aby mały stateczek nie zatonął. Korzystając z czasu, robię przegląd pasażerów klasy pierwszej.

Czy znacie czytelnicy przygody Tartarina w Alpach, jedno z arcydzieł humoru wszechświatowego? Daudet opisuje tam między innemi zbiorową wycieczkę agencyi Cooka; uczestniczy w niej pewien stary, wykwintny pan z piękną panną „un membre du Jockey Club avec sa nièce (hm! hm!)" I ile razy występuje, zawsze to samo określenie: członek Jockey klubu ze swą siostrzenicą (hm! hm!).

Żywo mi ten ustęp dziś stanął w pamięci. Bo oto mocno brodaty nasz kapitan ukazuje się z pulchną białogłową niemeczką—oczywiście „siostrzenicą" (hm! hm!); inny podeszły pasażer, z miną starego używacza, towarzyszy wysmukłej, uderzająco pięknej brunetce — także oczywiście „siostrzenicy"

(hm! hm!). Tu uczucia rodzinne idą tak daleko, że ci państwo jedną nawet zajmują kajutę.

Po śniadaniu powoli ruszamy. Dzień słoneczny, gorący. Przed nami roztacza się teraz w całej piękności panorama ogromnej zatoki; a na brzegach Afryki widać nawet białe domki. Objeżdżamy naokoło skałę Gibraltaru—jesteśmy już na morzu Śródziemnem. Widziana z tej strony jest istotnie martwa i ponura; prawie pionowo wznoszą się z morza nagie ściany. Powoli brzegi Hiszpanii nikną w oddali—jesteśmy znowu na pełnem morzu.

25 stycznia, Neapol. Morze Śródziemne nie było na nas łaskawsze od Oceanu. Mieliśmy znowu burzę i dziś rano we mgle wjeżdżaliśmy do tej zatoki, którą „ujrzeć należy, a potem umrzeć". Zresztą są podobno nieliczni śmiertelnicy, którzy widzieli Neapol i dotąd żyją, ale i tych zapewne wspólny wszystkich nas los czeka. Mówią też, że w znanem wyrażeniu mieści się dwuznacznik: „vedere Napoli e piu mori", a „Mori" ma być przedmieściem Neapolu; w tłumaczeniu więc brzmi to tak: „zobacz Neapol, a potem „Mori". Brzmi to mniej podniośle. Czy to zresztą prawda—nie ręczę. Nie umiem po włosku.

Zaledwie zarysowują się tedy kontury dwóch strażnic zatoki, wysp Capri i Ischia. Słońce ukazuje się dopiero w chwili, kiedy dobijamy prawie do brzegu i oświetla głąb: fort San Elmo na wzgórzu i Wezuwiusz, z małym obłoczkiem u szczytu. I to już daje pojęcie o piękności krajobrazu.

Plan mam już z góry ułożony. Zobaczę muzeum, ruiny Pompei, przejadę się po mieście, odwiedzę przyjaciela i kolegę, Marroniego, który przed dwoma

laty parę tygodni spędził w Warszawie, (ta wizyta mi się nie udała, bawi on w Paryżu, jako stały korespondent tutejszego *Mattino*).

Muzeum zawiera skarby olbrzymie: arcydzieła rzeźby, wykopaliska z Pompei, freski ścienne, różne przedmioty użytku codziennego i t. d. Miałem czas tylko przelecieć przez kilkanaście sal — oczywiście nic o nich pisać nie mogę; zanotować trzeba wrażenie olśnienia, jeżeli chodzi o dzieła sztuki; zrozumiałem też teraz, że i jak można odtworzyć całe życie codzienne rzymian.

Z wycieczki na Wezuwiusz zrezygnowałem już: mówiono mi, że nie zdążę. Tymczasem na stacyi w Pompei złapał mnie przewodnik, zapewniając, że wystarczy mi czasu zupełnie; oczywiście propozycyę przyjąłem z zapałem. Wobec tego i na zwiedzenie Pompei nie wiele zostało mi czasu.

Ale tu trzebaby siedzieć dni parę, albo, jak ja, ograniczyć się godziną czasu. Te ruiny—to całe małe miasteczko, jakby przekrój zrobiony na wysokości półtora metra nad ziemią. Pełno krzyżujących się uliczek, bardzo wąskich, jedna główna, która przechodzi przez forum, obok świątyni Appolona i domów zamożnych obywateli. Zresztą i tu biedniejsze domki mają zawsze ten sam typowy rozkład rzymski. W oddali osobne resztki amfiteatru, na wzgórzu najlepiej może zachowana świątynia Jowisza. Mury z kamienia, spajanego cementem; brzegi ceglane — a cegły dłuższe, lecz cieńsze od naszych. Ulice brukowane płaskiemi flizami kamiennemi.

Wszystko to przypomina mi stare, zachowane dotąd, rzymskie jeszcze domy w La Turbie i Roquebrune, niedaleko Monte-Carlo; porównywując też plan Pompei z planami tych obu miasteczek widzimy, że jednakie obmyślały je głowy.

Dziwnego doznaje się wrażenia, stąpając po tych drogach, zaglądając do tych mieszkań, które zamarły przed setkami lat, aby być niedawno wskrzeszonemi — bez mieszkańców. A i tych znajdziemy kilkunastu — skamieniałych, w miejscowem małem muzeum. Straszne to przeważnie postacie; leżą odwrócone na bok, lub na brzuchu często z zasłoniętemi ręką oczyma, tak, jak je zaskoczył straszny wybuch, w instynktownej pozie obrony—bezskutecznej. Tu i owdzie odłamał się kamień i sterczy kawał gołej kości. Przeraża pies, podobny do naszych owczarskich, zamarły w chwili konwulsyjnych skrętów z bólu. To jest straszne, ale to dodaje obrazowi zupełnego realizmu.

Kiedy przygnębiony trochę wychodzę z ruin, przewodnik czeka już na mnie z powozikiem. Do Bosco Trecase zwyczajna, banalna szosa. Ale w Bosco Trecase już można sobie zdać sprawę ze spustoszenia, jakiego dokonał ostatni wybuch w kwietniu r. z. Domy do wysokości pierwszego piętra zalane lawą, kościół zalany, winnice i zasiewy poniszczone. A na gruzach już nowe zakwita życie: budują nowe domy, z tej samej lawy, która ma być doskonałym materyałem budowlanym. Pola zalane lawą wyglądają jak skamieniała rola, a sama lawa podobna jest do żużli żelaznych, jest twarda, nieco łamliwa, wydaje przy uderzeniu dźwięk metaliczny.

Zapytuję przewodnika, czy dużo ludzi zginęło. Okazuje się, że nikt. Na parę dni przedtem było małe trzęsienie ziemi, znane ludności, jako ostrzeżenie. Więc mieszkańcy zagrożonych miejscowości emigrowali tłumnie zawczasu — skończyło się tym razem tylko na ruinie materyalnej.

Przed wybuchem prowadziła na Wezuwiusz kolejka zębata, własność agencyi Cooka — dziś już zdjęta. Skutkiem tego, wycieczka jest bardzo utrudniona i składają się na nią różne rodzaje lokomocyi.

Więc w Bosco Trecase przesiadamy się na małe, mocne i sprawne koniki. Piętnaście lat nie siedziałem na koniu—to też z początku dziwnego doznaję wrażenia. Ale potem oswajam się, galopuję po pochyłościach, ku wielkiej uciesze przewodnika. Nie ma w tem zresztą sztuki, bo koniki nasze znają grunt i same wiedzą doskonale, gdzie sobie bezkarnie na galopa pozwolić można.

Mimo pośpiechu, jedziemy dobre półtorej godziny, ciągle pod górę. Mijamy coraz rzadsze domki, wreszcie otacza nas tylko szara, dziwna, ponura pustka, lawa i popiół, w którym czasem konie brną po kolana. Tu i owdzie leży olbrzymi głaz, wyrzucony niesłychaną siłą wybuchu. A kiedy się odwracam, widzę zachód słońca nad wesołą, zaludnioną, błękitną równiną. Co za kontrast! Wypogodziło się zupełnie. U stóp góry gęsto rozrzucone osady: Torre Annunziata ze swą zatoką, dalej Castellamare, na lewo ubielone śniegiem złoto-różowe szczyty gór. Z tej strony, po której my się wspinamy, Neapolu nie widać: leży od nas za górą. Ale i bez tego, widok

jest jednym z najpiękniejszych, jakie widziałem w swojem życiu. Stoję zapatrzony, zachwycony, wzruszony...

Przewodnik nagli do pośpiechu. A mnie wszystko jedno, bo i tak krater zobaczę przy księżycu. Ale słońce zaszło—niema już po co stać. Za chwilę zresztą zsiadamy z koni, zostawiając je pod opieką malca, który biegł za nami od samego dołu.

Resztę drogi mamy odbyć pieszo. Ale ani mowy niema o tem—nie dojdę; po kolana i wyżej zapadam się w popiół. Wtedy—deus ex machina—z pod ziemi wyrastają dwaj uprzejmi bandyci z propozycyą, że mnie na szczyt zaniosą: jest to ich fach. Niema rady—zgodzić się trzeba.

Po części niesiony, po części pchany i ciągniony, częściowo o własnych siłach dobijam do celu. Im bliżej, tem mocniej daje się uczuwać ciepło gruntu.

Stoję nad kraterem. Wbrew memu wyobrażeniu, jest olbrzymi — półtora kilometra w obwodzie. Brzegi ostre, jakby sztucznie usypane. Wypełnia go całkowicie biała para, od której idzie silny zapach siarki. Błękitne światło księżyca ślicznie się w niej przelewa.

Schodzimy kilkadziesiąt metrów w dół, w głąb krateru. Gorąco straszne, podeszwy pieką, oddychać coraz trudniej, bo siarka dusi poprostu. Naraz w głębi słychać głuchy, przeciągły grzmot. Instynktownie rzucam się do ucieczki i sam gramolę się prędko na brzeg, ku przerażeniu towarzyszy, którzy przekładają mi, że są za moje bezpieczeństwo odpowiedzialni.

Jeszcze chwila rozmyślań — i wracać trzeba. A myślę, że gdyby można sobie realnie pomyśleć piekło, to takby wyglądać musiało wejście. Z roztargnieniem słucham opowiadania przewodnika, że krater po każdym wybuchu ogromnie się rozszerza, że można zejść tylko o parę metrów niżej, niżeśmy byli, bo tam zaczyna się już zupełnie prostopadła przepaść i t. d. Zapatrzony jestem przed siebie, widzę znajomy już krajobraz, tym razem w blasku księżyca.

Pieszo i konno, powozem i koleją, tramwajem i łódeczką, po sześciokrotnej zmianie lokomocyi, około dziesiątej dotarłem na statek. Morze śpi i drży zlekka zmarszczone w świetle księżyca, w powietrzu czystem i przezroczem drżą gorące tony mandoliny, a w oddali tenor głośno wywodzi: „Santa Lucia"! Nucę do wtóru:

O Neapolu, o cudny kraju,
Kto cię nie widział, ten nie zna raju...

*

*　　　　*

Wycieczka była piękna, mniej piękny sposób w jaki się odbywa. Łapichłopstwo w najwyższym stopniu. Wszyscy kłamią. W Pompei zapewniają, że wycieczka tam i z powrotem trwa trzy godziny — tymczasem trwa około sześciu; że po opłaceniu biletów niema już żadnych kosztów—tymczasem trzeba wziąć osobnego konia dla przewodnika i opłacić potem tragarzy, bo faktycznie na szczyt dojść

nie można. A że nikt nie cofnie się z odległości kilkudziesięciu metrów od krateru, więc trzeba przyjąć iście bandyckie warunki. Potem cała czereda bezczelnie i natarczywie upomina się o warunki, po drodze trzeba z nimi pić wino i t. d. Słowem, komu zależy na pośpiechu, kto robi tę wycieczkę sam, jak ja, ten wraca obrany literalnie co do grosza, jak gdyby istotnie wyszedł z rąk bandytów. Z początku turysta irytuje się, potem przyjmuje wszystko z rezygnacyą, wreszcie przychodzi do przekonania, że na Włochów gniewać się nie można, że tu tak pięknie i dobrze, a gniew nie pasuje do krajobrazu. Zawsze jednak jest to czarna strona wycieczki; parę dni jeszcze turyście stają włosy na głowie, na myśl, ile go kosztowało zajrzenie w głąb krateru Wezuwiusza.

Ale oddajmy hołd i bezinteresownej usłużności Włochów. Na dworcu zapytałem się młodego urzędnika kolejowego, jaką drogą dostanę się na mój statek. Zamiast odpowiedzi wsiadł ze mną do tramwaju, potem do łódki i odwiózł mnie na sam statek.

27 stycznia, Genua. Po bardzo burzliwym i dżdżystym dniu wylądowaliśmy nareszcie. Bardzo zimno. Z okien wagonu, w drodze na Rivierę, widzę dużo śniegu, nawet w niskich dolinach. Byle to były ostatnie podrygi, bylem ja miał ciepło nareszcie...

Tu, już na gruncie starej Europy kończą się moje wrażenia z podróży.

Szkice Amerykańskie.

ROZDZIAŁ VIII.

Poziom życia publicznego.

Jeżeli wypadnie nam oceniać demokratyczność ustroju politycznego Stanów Zjednoczonych w porównaniu z państwami europejskiemi, to ocena nie zawsze wypadnie pomyślnie dla wielkiej rzeczypospolitej zamorskiej. Obyczaj demokratyczny, nieznaczna różnica w położeniu i wykształceniu klas społecznych—będą przemawiały raczej za rzetelnością demokracyi w Norwegii, Finlandyi, Szwajcaryi; w tem ostatniem państwie znajdziemy jeszcze głosowanie i inicyatywę ludową, których nie zna państwo północno-amerykańskie. Sławę swej demokracyi zawdzięczają Stany Zjednoczone Tocqueville'owi, który porównywał ustrój tamtejszy z państwem demokratycznem jeno we frazesie — z Francyą; po-

równanie z innemi państwami mogłoby wywołać inne wnioski.

Jeżeli przez demokracyę rozumieć będziemy jedynie wykonywanie t. zw. „woli ludu" za pomocą delegowania jego władzy zwierzchniczej drogą wyborów, jak również faktyczną a nietylko teoretyczną -- jak w Europie—możność osiągnięcia najwyższych stanowisk społecznych, to musimy przyznać, że Stany Zjednoczone są istotnie państwem demokratycznem. Ale obyczaj kraju takim nie jest: miliony i miliardy dolarów stawiają między ludźmi przegrody nie do przebycia, stokroć większe, niż nasze europejskie, znikające zresztą, różnice rodowe; te same miliony i miliardy zapewniają ich posiadaczom władzę i wpływ, którego z żadnym w Europie porównać nie można, tem większy, że nie urzędowy, lecz tajny, na cichych datkach pieniężnych oparty.

Wszystkie stanowiska kierownicze, w związku, czy stanie, w gminie miejskiej, czy powiecie, od prezydenta do sędziego pokoju — są oparte na wyborach. Olbrzymia ilość uniwersytetów i szkół wieczornych, niesłychana zmienność zawodów i karyer (w przeciwieństwie do starej Europy, gdzie życie pojedyńczego człowieka podobne jest do pociągu puszczonego na jedne szyny, bez możności wekslowania) — zapewnia każdemu faktyczną możność ubiegania się o każde stanowisko.

Te dwa czynniki sprawiają, że dwa wielkie stronnictwa amerykańskie — demokratyczne i republikańskie (inne — to *quantités négligeables)* przetwarzają się z biegiem czasu w dwa towarzystwa

ubezpieczeń co do posad, przeistaczają się tem więcej, że, mimo znanych historycznych różnic ich platform, [1]) w realnej polityce obu stronnictw różnice te zacierają się coraz bardziej.

---

1) Znana jest u nas zdawkowa charakterystyka obu głównych stronnictw amerykańskich: demokraci mają reprezentować dążenia wolnohandlowe, utrzymanie samodzielności poszczególnych stanów, walutę srebrną i są przedstawicielami raczej rolnictwa w przeciwstawieniu do republikanów, centralistów, protekcyonistów, zwolenników waluty złotej, opartych o wielkie kapitały bankierów i przemysłowców, zorganizowanych w olbrzymie trusty. Takie pojęcie o podziale stronnictw jest słuszne, o ile chodzi o historyę. Dziś zaś poważnych różnic między obu stronnictwami nie ma — są to raczej dwie korporacye historyczne, walczące ze sobą o władzę i o korzyści, które zapewnia. W celu zabezpieczenia sobie popularności na przyszłość, lewe skrzydło demokratów bierze w opiekę interesy robotników i przechyla się ku socyalizmowi.

Jeżeli zestawimy to skrzydło z demokratami z południa, ze stanów dawniej niewolniczych, plantatorami, rzucającymi tęskne spojrzenia w kierunku bezpowrotności minionej przeszłości, to zrozumiemy, że w stronnictwie demokratycznem nie może być spójności ideowej.

W chwili obecnej socyalizm występuje tu, jako nowy, groźny czynnik przyszłości. Nowy—ponieważ dotychczas nie odgrywał żadnej roli, ba! mówiono nawet, że nie może zaszczepić się na gruncie amerykańskim, groźny, bo przy tej wytężonej produkcyi, na jakiej opiera się potęga handlowa Ameryki, wszelkie przesilenie może pociągnąć za sobą szereg bankructw i zachwiać w podstawach stanowisko wszechświatowe wielkiej rzeczpospolitej. W ostatnich dwuch latach wzmogła się znacznie emigracya polityczna rosyan i żydów rosyjskich; agitacya ich nadaje socyalizmowi tutejszemu piętno bojowe i opiera się o robotników niżej płatnych, dotychczas bowiem wysoko płatny fachowy robotnik tutejszy był socyalistą tylko

Tak pojęta polityka staje się interesem (*business*) i jest jak interes traktowana; działalność polityczna musi przynosić zyski, i to zyski znaczne; że zaś w stosunku do drożyzny życia pensye urzędników są względnie niewielkie, więc powiększanie dochodów musi następować w drodze poborów datków nielegalnych. Weźmy przykład: sędzia pokoju pobiera 6,000 dol. rocznie i jest wybierany na lat pięć; kandydat na ten urząd musi wnieść do kasy partyi 6,000 dol., stronnictwo więc zawczasu pozbawia go sumy 1,200 dol. rocznie; różnicę tę, zwykle zresztą o wiele więcej ponad tę różnicę, muszą mu przynieść pobory nieprawne.

---

o tyle, o ile chodziło o zdobycie dla niego jeszcze lepszych warunków bytu, bynajmniej zaś nie o poprawę losu towarzyszów jego, opłaconych niżej. Z powodu tej wzmożonej agitacyi, niebezpieczeństwo socyalizmu jest dziś na ustach wszystkich, o tem tylko się mówi, a charakterystyka jego promotorów pochodzi bynajmniej nie od antysemity, lecz od jednego z wybitnych tutejszych kapitalistów.

Wspomniałem wyżej o lewem skrzydle demokratów, ciążącem do socyalizmu. Wymienić tu należy przywódcę, Hearsta, właściciela kilku dzienników, bardzo rozpowszechnionych wśród warstw ludowych, pierwszego, który cenę dzienników sprowadził do 1 ct. (2 kop.) i dorobił się na tem milionów. W dziennikach swych prowadzi on zażartą i niesłychanie gwałtowną kampanię przeciwko wielkim zrzeszeniom kapitalistów t. zw. „trustom", co się ogromnie podoba ludowi, przypisującemu im podrożenie środków do życia, a nie sprzeciwia się programowi demokratycznemu, ponieważ „trusty" są ekspozyturą i podstawą finansową republikanów. Opinia sfer inteligentnych i mieszczańskich jest zresztą wprost przeciwna: „trusty" mają jakoby z jednej strony obniżać cenę produktów pierwszej potrzeby, z drugiej zaś podnosić płacę robotnika.

Łapownictwo—mówmy wyraźnie—krzewi się bujnie na wszystkich szczeblach życia publicznego i zwiększa się w miarę tego, jak schodzimy niżej, jest więc większe w stanie niż w Unii, większe w gminie wiejskiej i w hrabstwie niż w stanie; najbardziej dojnemi krowami są gospodarstwa miejskie, opanowane niemal wszędzie przez demokratów. Nie należy też sobie wyobrażać, że ofiarą łapownictwa pada obywatel, jak np. w Państwie Rosyjskiem. Tu źródłem dochodów są wielkie stowarzyszenia, trusty, kompanie, np. w miastach towarzystwa tramwajowe, kolejowe, gazowe i t. d., lub też szynki nocne, domy gry, domy rozpusty. Tylko w sądach musi opłacać się jednostka, ale ze sprzedajności sądów korzystają zazwyczaj tylko ludzie majętni (proces Thawa). Tak więc zwyczajny obywatel amerykański obywa się bez łapówek, wie o nich, ale macha na nie ręką, rozumiejąc, że składają się na nie przedsiębiorcy bardzo bogaci, a nie pojmując, że ciż przedsiębiorcy odbijają je sobie na jego skórze (kompanie kolejowe i tramwajowe — przez lekceważenie bezpieczeństwa pasażerów, szynki — przez rozpajanie ludzi falsyfikatami i t. d.)

*

*　　　*

Klasyczny przykład łapownictwa daje samorząd Nowego-Yorku. Słyszeli zapewne czytelnicy o „Tammany Hall". Jest to klub, inaczej organizacya wyborcza stronnictwa demokratycznego w Nowym-Yorku. Istnieje od lat stu dwudziestu; założona

została w chwalebnym celu zwalczania arystokratyzmu republikanów; nazwę wzięła od popularnego w owym czasie wodza Indyanów—„Tammany”. Dziś zaś jest najznakomitszą i niezwyciężoną organizacyą nepotyzmu i łapownictwa, która od lat wielu z małą kilkuletnią przerwą rządzi bez kontroli największem miastem Stanów.

Organizacya jest istotnie wyborna. Nowy-York podzielony jest na dzielnice, a na czele każdej stoi głowa—„boss”; dzielnice na cyrkuły pod wodzą kapitanów; wreszcie cyrkuły na „bloki” (kwadraty domów, tworzone przez przecięcie dwóch ulic poziomych z dwiema pionowemi), rządzone przez mężów zaufania Tammany-Hallu. Obowiązkiem każdego męża zaufania jest znać osobiście wszystkich mieszkańców swego „bloku” i nieść im pomoc w każdej potrzebie: dostarczać pracy, wyrabiać miejsce w szpitalach dla ciężej chorych, dostarczać pomocy lekarskiej i lekarstw lżej chorym, umarzać wszelkie ich zatargi z policyą, bronić w sądach, wyrabiać stypendya dzieciom w szkołach i t. d. i t. d. Oczywiście z usług korzysta najwięcej ludność uboższa, ona też stanowi podstawę wyborczą Tammany-Hallu, dałaby się zań porąbać, tembardziej, że jest przekonana, iż obdziera on tylko ludzi bogatych, a o to przecież mniejsza.

To jest niewątpliwie szlachetna strona organizacyi demokratycznej Nowego Yorku. Ale Ameryka jest krajem sprzeczności: władza w ten sposób nabyta staje się źródłem nieustającego od lat kilkudziesięciu skandalu. Doszło przecież do tego, że wyczerpała się nawet cierpliwość amerykańska.

Podczas rządów Ryszarda Crookera, który z dziesięciu palców dorobił się na polityce miejskiej conajmniej tyluż milionów, wyzyskiwanie doszło do tego, że część względnie uczciwa inteligencyi, należącej do Tammany Hall, poparła przy wyborach republikanów i przeprowadziła ich zwycięstwo; przez lat kilka New York był administrowany względnie uczciwie, ale tylko przez lat kilka. Potem wróciła do rządów Tammany-Hall i rządzi szczęśliwie dla siebie po dziś dzień.

Jako małą próbkę jej działalności przytoczę urywek rozmowy z jednym z wybitniejszych dziennikarzy. Zadałem mu pytanie następujące:

— Czy Nowy York jest istotnie tak moralnem miastem, jak się na papierze wydaje?

— Jakto?

— Mam na myśli przepisy o wczesnem zamykaniu szynków, o zabranianiu prostytucyi...

— A cały Nowy York oddaje się pijaństwu i rozpuście...

— Przecież prostytucya jest zakazana, reglamentacyi niema, a więc i domów publicznych.

Mr. Brynton patrzył na mnie zdumiony, jak na waryata, lub udającego naiwnego.

— Proszę pana, mamy w Nowym Yorku domy zamknięte, liczące po trzysta nierządnic...

— Olbrzymie, jak wszystko w Ameryce — wtrąciłem.

— ...Nie licząc innych mniejszych.

Uśmiechnął się sceptycznie.

— Mówią, że Tammany-Hall ma z tajnych domów rozpusty, z tajnych domów gry, z nocnych

szynków, około 3 milionów dolarów rocznego dochodu. Tak mówią... Ale ja nic nie wiem.

— ...Mówią też, że ile razy potrzeba pieniędzy, znajduje się w porę jakiś surowy zakaz, dotyczący wielkich kompanii kolei podziemnych, nadziemnych, tramwajów i t. d. Wtedy muszą oczywiście rozwiązywać worki...

Uśmiechał się dalej sceptycznie, wpatrując się w kłęby dymu z cygara. A ja słuchałem zdumiony, pomimo tego, co już wiedziałem o Ameryce z książek i gazet.

Tak, tak, tu wszystko jest olbrzymie: nadużycia mają także po kilkadziesiąt pięter. I czasem się zawalają, ale sprawcy nie giną pod gruzami. Crooker usunął się na razie od życia publicznego, używa milionowych wczasów w Europie. Ale jeszcze wypłynie, bo ma być, jak mi mówiono—„bardzo mocny“.

Business is business.

*

* *

Stwierdzenie tego rodzaju faktów budzi w duszy Europejczyka niesmak i obrzydzenie, a na usta ciśnie się sąd pośpieszny: „Cóż to za zgniłe społeczeństwo!“ Nic błędniejszego. Społeczeństwo Stanów Zjednoczonych bynajmniej zgniłe nie jest; przeciwnie, jest ono jeszcze zbyt młode, by mogło wyrobić w sobie prawdziwą i wysoką kulturę mo-

ralną. Poziom życia publicznego jest nizki, bo nizki jest poziom ideałów etycznych.

Z wyjątkiem pierwszych kolonistów—purytanów angielskich, ludzi idei, surowych dla siebie i innych, ludność olbrzymiego państwa tworzyła się przez kolejne uwarstwienia wyrzutków europejskich, albo emigrantów ciemnych, różnych ras i tradycyi, o poziomie kulturalnym bardzo niskim, których asymilowało społeczeństwo bynajmniej nie wyższe pod względem kultury moralnej. Cementem tego zlepku była wspólna chęć osiągnięcia jak największych zysków, wspólna miłość tej nowej ziemi dlatego tylko, że tym, którzy się na niej ostali po walce w Indyanami, z przyrodą, z dzikim zwierzem, było tu dobrze. Ta nieustanna, niezmiernie ciężka i wytężona walka o byt, cechująca społeczeństwo amerykańskie od chwili założenia aż do dni dzisiejszych, wyrabiała w jego obywatelach cnoty, któremi przyświecają innym krajom: energię, dzielność, pracowitość, wytrwałość, ale i wynikające z tych samych warunków wady: dziką bezwzględność i głęboko zakorzenione poczucie, że zysk uświęca wszystkie środki. Potomek człowieka, który między jednym psalmem a drugim mordował dziesiątki Indyan, musiał uważać za rzecz dozwoloną zabójstwo Białego, jeżeli ten był zawadą na jego drodze, bądź jako przeciwnik polityczny, bądź jako konkurent handlowy. Dolary, do których niesłychanymi dochodzono wysiłkami, w pojęciu tych ludzi musiały otwierać drogę do wszystkiego, wszystko też mogło być przedmiotem kupna, sprzedaży i zysku. Pojęcia te przyswajały sobie z łatwością milionowe zastępy immi-

grantów europejskich, i tak przetrwały one do dziś dnia w formie może mniej dzikiej, częstokroć nieświadomej, ale przetrwały i zabarwiają życie publiczne Stanów Zjednoczonych.

Jego niski poziom tem bardziej uznać należy za objaw młodości kulturalnej społeczeństwa amerykańskiego, a nie uwiądu starczego, że ciągle zauważyć można bardzo znaczny postęp. Przed kilkunastu laty mordowanie wybitnych kandydatów przy wyborach przez przeciwników politycznych było w Chicago na porządku dziennym; żadne rozdawanie *homesteadów* (darmowych gruntów państwowych) nie obywało się bez formalnych bitew między spóźnionymi kandydatami na właścicieli, a ich przybyłymi wcześniej konkurentami, o ile nie chcieli ustąpić. Dziś—wypadki tego rodzaju należą do wyjątków bardzo rzadkich; siła dolara zastąpiła groźbę rewolweru, co już za postęp uważać trzeba. W najogólniejszych zarysach, jeżeli New-York weźmiemy za punkt wyjścia, to stwierdzimy, w miarę oddalenia na wschód i na południe, stosunki dziksze, bardziej barbarzyńskie; wschodnie Stany, najstarsza i najbardziej kulturalna Nowa Anglia, odznaczają się już wyższymi obyczajami politycznymi.

Są i inne oznaki postępu. Przedewszystkiem wzbiera od czasu do czasu fala oburzenia publicznego przeciwko *bodlerom* i *bodlerstwu* (wyrażenie techniczne, odpowiadające naszemu łapownictwu, ale posiadające zakres szerszy), które zmiatają z powierzchni ziemi całe zarządy miejskie (Tammany Hall w New-Yorku, zarząd miasta Milwaukee przed

kilku laty) i stanowe. Tu się dopiero widzi korzyści i znaczenie instytucyi prawdziwie demokratycznych: skoro lud jest zniecierpliwiony zbyt już łajdacką gospodarką jakiego stronnictwa, może go się pozbyć z łatwością i w każdej chwili. Szkoda, że te objawy zniecierpliwienia występują zbyt rzadko i dorywezo.

Wreszcie zaznaczyć trzeba wzmagającą się coraz bardziej cześć dla czystych rąk w polityce. Łapownictwo jest niewątpliwie częścią składową obyczajów politycznych amerykańskich; jednostki, które je praktykują, nie są bynajmniej potępiane, ale te rzadkie wyjątki, które w działalności swej rządzą się zasadami uczciwości bezwzględnej, otaczane są czcią powszechną. Więcej — uczciwość w polityce staje się powoli źródłem karyery politycznej.

Znamy dwa takie przykłady. Pierwszy z nich— to Roosevelt, który w ciągu swej długiej karyery politycznej nie zebrał ani grosza majątku, mimo że był nawet przez pewien czas dyrektorem policyi w New-Yorku, (posada, zapewniająca dochody milionowe); olbrzymią popularność jego ilustruje fakt, że dla niego chcą Amerykanie zmienić nietykalną dotąd od czasów Washingtona tradycyę, że prezydent nie może być wybierany na trzy pięciolecia (utworzyła się w tym celu liga międzypartyjna, do której należą zarówno republikanie, jak demokraci). Drugi przykład—to Jan W. Smulski, Polak, skarbnik stanu Illinois, przyszły najpoważniejszy kandydat na gubernatora, który swoje odznaczenie zawdzięcza temu, że gdy był radcą miejskim w Chicago, a potem

prokuratorem miasta, należał do feniksów i nie brał żadnych łapówek.

Streszczamy się. Stwierdzając fakt niewątpliwie niskiego poziomu życia publicznego w Stanach Zjednoczonych, wstrzymujemy się od łatwego wyroku potępienia. Owszem—jesteśmy przekonani, że na zdrowym, choć dziewiczym gruncie społeczeństwa północno-amerykańskiego rozwiną się z czasem pojęcia idealizmu politycznego, podstawy i treści zdrowego życia publicznego. Widzimy zapowiedzi tego zjawiska. Sądzimy, że wybitne jednostki mogą ten rozwój przyśpieszyć. Taką jednostką jest niewątpliwie obecny prezydent. W tej Unii, w tych Stanach demokratycznych mądre prawa zapewniają władzy wykonawczej potęgę olbrzymią. Prezydenci i gubernatorowie, którzy byli i są słomianymi ludźmi swoich stronnictw, z potęgi tej nie korzystali. Roosevelt wyzyskuje w całej pełni przysługującą mu z mocy konstytucyi władzę; wyniesiony na pierwsze stanowisko przez trusty republikańskie, porzuca platformę partyjną i dąży do złamania potęgi miliardów, wtrąca się i wgląda we wszystkie dziedziny życia publicznego; olbrzymią rzecząpospolitą rządzi dość arbitalnie. Państwo, które umiało postawić sobie na czele takiego człowieka, które potrafiło rozumną jego politykę ocenić, a ciągłość jej chce zapewnić, państwo takie potrafi zwalczyć zepsucie, które nie jest chorobą starości, lecz objawem niedojrzałości kultury moralnej.

ROZDZIAŁ IX.

Szkolnictwo w Ameryce.

System ogólny.—Spór szkół wyższych i uniwersytetów.—Szkoły widziane.—Uwagi o nich.—W laboratoryum psychologicznem Stanleya Halla.

Cały system szkolny amerykański nie da się wtłoczyć w ustalone normy europejskie, w nasze pojęcia o szkołach niższych i wyższych, jako etapów rozwoju wykształcenia. I nazwy nic tu nie mówią: jeżeli niższej szkole prywatnej spodoba się przybrać nazwę „college" lub „university" nikt w tem jej nie przeszkadza, ale nikt też nie da się wprowadzić w błąd tytułem. Stanowi to pierwszą trudność dla europejczyka, druga zaś—to różne prawa, obowiązujące w różnych stanach, bardzo zazdrosnych o swoją samodzielność, tak, że niema widoków centralizacyi związkowej szkolnictwa. Łatwość zakładania szkół prywatnych jeszcze powiększa różnolitość obrazu.

Sprobujmy jednak wyciągnąć pewne linie wytyczne.

Prawie we wszystkich stanach nauczanie początkowe jest powszechne i przymusowe. Każde dziecko w wieku lat 7—15 musi uczyć się w szkole. Takie jest prawo; stosownie trudniejsze. Twarde to prawo dla rodzin po miastach, gdzie praca dziecka w fabryce czy warsztacie jest znaczną pomocą materjalną dla rodziny, twardsze po wsiach, gdzie dzieci są czynnemi siłami w gospodarstwie domowem; tem twardsze wszędzie im bardziej powszechne jest

ubóstwienie dollara. To też rodzice starają się obchodzić prawo wszelkiemi sposobami. Z ogólnej liczby dzieci w wieku szkolnym, zaledwie 75 proc. jest w szkołach zapisanych, a zaledwie 50 proc. chodzi faktycznie do szkół.

Istnieją specyalne towarzystwa filantropijne, mające na celu ułatwienie biednym rodzicom posyłanie dzieci do szkoły publicznej przez udzielanie im zasiłków pieniężnych od 3 dolarów tygodniowo.

Organem nauczania początkowego i przymusowego są t. zw. szkoły publiczne (public-schools), utrzymywane przez gminy wiejskie i miejskie, z kursem ośmioletnim: przy wielu szkołach takich istnieją dziś ogródki dziecięce, dla dzieci od lat pięciu.

Następnym etapem nauczania bezpłatnego i urzędowego są szkoły wyższe (high-schools); utrzymywane również przez gminy miejskie i wiejskie, z kursem czteroletnim. Obejmują one już języki starożytne i nowożytne (obowiązkowo dwa, wedle wyboru ucznia czy uczennicy), algebrę i geometryę, nauki przyrodnicze, stenografję i korespondencyę handlową i inne nauki w zakresie naszym gimnazyalnym.

Potem idą „colleges" i „universities", różniące się nazwami, ale w zasadzie mające programy jednakie, odpowiadające w bardzo ogólnych zarysach dwum wyższym klasom gimnazyów europejskich oraz dwum pierwszym kursom uniwersytetów starego lądu. W tej dziedzinie panuje zresztą dowolność i rozmaitość absolutna; między t. zw. uniwersytetami (universities) są i takie, które przyjmują wyłącznie specyalistów, poświęcających się tylko

jednej gałęzi wiedzy, jak np. Clark University w Worcester.

Uniwersytety i kolegia jedynie mają prawo udzielania stopni naukowych: bachelor (mniej więcej egzamin dojrzałości), master (w rok najmniej później, po przedstawieniu rozprawy) i doctor (najmniej po trzech latach studyów bardzo specyalnych, bardzo trudnym egzaminie z nauki głównej i z dwóch pomocniczych, oraz po wydrukowaniu rozprawy).

Zakłady te w zasadzie są organami nauki czystej, kształcącemi uczonych i profesorów. I to tak dalece, że tylko w niektórych największych uniwersytetach istnieją wydziały medyczne, prawne, rolnicze, handlowe i politechniczne, przeważnie bowiem szkoły takie uważane są za zawodowe i wiodą żywot samodzielny. W ostatnich czasach daje się zauważyć tendencya łączenia w jedne olbrzymie ciała naukowe wszystkich tych wydziałów. Nauczycieli do szkół ludowych i wyższych (high—schools) kształcą t. zw. szkoły normalne (odpowiadające europejskim seminaryom nauczycielskim), utrzymywane również kosztem gmin i stanów, a więc bezpłatne.

Taka jest organizacya szkolnictwa urzędowego; obok niego bujnie krzewi się prywatne. Więc w dziedzinie szkolnictwa początkowego mamy cały szereg szkół wyznaniowych, przeważnie o charakterze narodowym, przy kościołach niemieckich, włoskich, polskich, litewskich, francuskich i t. d.; władze szkolne urzędowe wymagają od nich jedynie, aby dobrze był wykładany język angielski i by dzieci uczyły się w nich siedem miesięcy rocznie, po 25 godzin tygodniowo; tylko wtedy, jeżeli odpo-

wiadają tym wymaganiom, przyznane im zostaje prawo równoległości ze szkołami publicznemi, innemi słowy rodzice mogą do nich posyłać swoje dzieci zamiast do szkół publicznych.

Na etapie szkolnictwa średniego (high-schools) zakładają szkoły prywatne bractwa i kongregacye, jak również przedsiębiorcy prywatni, każący sobie płacić doskonale. Ale dopiero w dziedzinie wykształcenia wyższego zakłady prywatne biorą przewagę stanowczą nad urzędowemi. Olbrzymia większość uniwersytetów i kolegjów powstała z fundacyi prywatnych, rządzi się ustawami własnemi (charter) i pobiera od studentów opłatę nieraz dosyć wysoką. Od niedawna występuje w niektórych stanach tendencya zakładania kolegjów i uniwersytetów urzędowych, a więc bezpłatnych; w Nowym Jorku np. istnieją dwa kolegja dla chłopców i dla dziewcząt i jeden uniwersytet, utrzymywany przez miasto. Ale, rzecz dziwna, rozwojowi tych zakładów przeszkadza zakorzenione wśród młodzieży amerykańskiej przekonanie, że dobrze można się wykształcić tylko w zakładzie, pobierającym opłatę; uniwersytety i kolegja bezpłatne wzbudzają nieufność.

W tej też dziedzinie wykształcenia uniwersyteckiego spotykamy najwięcej kwestyi spornych. Kolegja i uniwersytety prywatne zależne od mniej lub więcej wysokiej stopy, na jakiej są postawione, poddają nowowstępujących wychowańców „high-schools” nieraz nader surowemu egzaminowi wstępnemu, opierając się na tem przekonaniu, że są oni zbyt mało przygotowani. Odpowiednie zakłady urzędowe przyjmują tychże wychowańców bez egzami-

nu i żądają tegoż samego od zakładów prywatnych, opierając się na tem, że zakłady szkolne i uniwersyteckie prywatne wolne są od podatków gminnych i stanowych. Jest to tylko jedna z próbek walki instytucyi urzędowych z prywatnemi, walki, która rozwija się coraz żywiej, zwłaszcza na zachodzie.

Sprawami szkolnemi zarządzają zarządy szkolne (board of education) stanowe i gminne. Związek posiada sekretarza do spraw szkolnych, który centralizuje jedynie informacye faktyczne i statystykę szkolną olbrzymiej rzeczypospolitej, władzy jednak niema żadnej.

W całym tym systemie uderza ogromna wolność nauczania.

*

* *

Zwiedzaliśmy wiele szkół; z tych na osobną wzmiankę zasługują następujące: Ethical School, The Catholic Protectory, Morris High Schol w Nowym Yorku, oraz Worcester Academy, Normal School i Clark University w Worcester. Mamy tu wszystkie typy: pierwsza to szkoła etyczna, utrzymywana przez żydów, założona przez b. rabina Adlera, w następstwie twórcy nowej religii, opartej wyłącznie na moralności; druga jest to zakład poprawczy dla chłopców i dziewcząt, utrzymywany przez katolickich braci szkolnych, ale niemający charakteru wyznaniowego, gdyż bierze dzieci z wyroków sądowych; trzecia—to najwybitniejsza w Nowym Yorku wyższa szkoła miejska; czwarta—to zakład

średni, płatny, utrzymywany przez sektę baptystów, piąta—seminaryum nauczycielskie stanu Massachusets; wreszcie szósta jest uniwersytetem fundacyi milionera Clarka.

Przy zwiedzaniu tych zakładów nasunęły nam się następujące uwagi ogólne.

W szkołach urzędowych (trzecia i piąta) w ciałach nauczycielskich przeważają kobiety, olbrzymia jest też ich przewaga w seminaryach nauczycielskich (w Worcester na 130 miejsc jest czterech mężczyzn). Potwierdza to statystyka: w Nowym Yorku na 14 tysięcy nauczycieli jest tylko 4 tysiące mężczyzn; w całych Stanach na 400—500 tysięcy nauczycieli jest tylko 100 tysięcy mężczyzn. Pochodzi to stąd, że praca kobieca jest tańsza, a nauczyciele wynagradzani są źle. Wahania są olbrzymie: od 300 dol. rocznie na wsi, na zachodzie, do 900 dol. w Nowym Jorku (pierwsza pensya). Trzeba tu przebyć czas jakiś, aby zrozumieć, że to jest poprostu nędza. Wogóle umysłowa praca nie opłaca się tutaj.

W szkołach urzędowych dzieci i młodzież przeciążane są pracą. Prócz sześciu godzin lekcyi bez pauz kilkuminutowych, tylko z jedną półgodzinną, muszą uczyć się w domu trzy do czterech godzin dziennie. Jest to może objaw pracy nad siły, wytężonej, która cechuje całe życie tutejsze. Zaznaczyć zresztą wypada, że sobota jest dniem rekreacyjnym.

Nauka języków nowożytnych prowadzona jest niepraktycznie: zawiele gramatyki i słówek. Po dwóch latach nauki (5 i 4 godziny tygodniowo),

dziecko nie umie mówić ani słowa danym językiem.

Na podniesienie zasługuje natomiast nauka rysunków (z wzorów realnych i praktycznych) i ogromna rola rysunku we wszystkich innych naukach, zwłaszcza przyrodniczych. Ten dział stoi bardzo wysoko.

Budynki wszystkie wspaniałe, bardzo kosztowne, masa powietrza i światła wszędzie; tu i owdzie zanotowaliśmy wzory praktycznej i wygodnej nowego typu ławki. Wszelkie pomoce naukowe: biblioteki, laboratorja, jak również sale gimnastyczne bardzo dobre. Młodzież robi wrażenie doskonale wygimnastykowanej.

Każda klasa otoczona jest ze wszystkich stron tablicami, dzięki czemu można np. wywoływać odrazu kilkunastu uczni do przerabiania zadań matematycznych.

Wszystkie szkoły mają jako ozdoby nagrody sportowe, zdobyte przez wychowańców i fotografie szkolnych stowarzyszeń sportowych, przeważnie męskich.

Pomieszczenia pokojów wykładowych nie są zależne od klas, lecz od przedmiotów, a więc mamy salę fizyki, matematyki, nauk przyrodniczych, rysunków i t. d., a nie sale kl. I, II czy innej; uczniowie każdą godzinę wykładu spędzają w innej, odpowiedniej sali. Przy każdej z nich są osobno pomieszczenia dla odpowiednich pomocy naukowych, przy salach fizyki i chemii bogate laboratorya i gabinety, przy salach nauk przyrodniczych vivaria, zielniki, zbiory minerałów, przy sali geografii atlasy,

globusy i t. d. i zaraz obok nich pokoje odpowiednich profesorów. Jest to urządzenie nader praktyczne.

Teraz uwagi szczególne.

Szkoła Etyczna. Uderzyła nas tu przedewszystkiem strona estetyczna: wszędzie masa kwiatów, muzyka odgrywa w wychowaniu dużą rolę. Sami eksterni, którzy płacą po 100 — 240 dol. rocznie. Wykłady prowadzone nieco chaotycznie, z pewnem teatralnem naśladowaniem wzorów greckich.

Protectory. Dwa tysiące chłopców i tysiąc dziewczyn (osobno) od 5 — 16 lat. Wyglądają doskonale i wesoło. Wszystkie wyznania; około 400 żydów. Prócz dzieci z wyroków sądowych oddają tu rodzice za opłatą dzieci, z któremi nie mogą sobie dać rady. Nauki niewiele, zabawy na świeżem powietrzu dużo; nauka rzemiosł postawiona wysoko i praktycznie. Wydatki roczne 250 tys. dolarów, pokrywane z różnych subwencyi i ofiar dobroczynnych.

Widzieliśmy tu trzech chłopców Polaków, odbijających melancholią od towarzyszy; skarżyli się, że im tu źle. Może gryzła ich tęsknota, lub wyrzuty sumienia, a może poprostu naturze polskiej nie wystarcza sam tylko dobrobyt materyalny...

Morris High Schol. Koedukacyjna na 2,700 dzieci od 12—18 lat. Karność żołnierska. Z lekcyi na lekcyę dzieci idą gęsiego w milczeniu, rozmawiać im bowiem nie wolno. W klasach dziewczyny siedzą osobno i osobno chłopcy; mają też osobne hale gimnastyczne. Kurs czteroletni. W wyższych klasach za pozwoleniem władzy szkolnej mogą ucz-

niowie opuszczać nauki, by pracować w laboratoryach lub bibliotece.

Worcester Academy. Internat na 250 chłopców od 14 — 20 lat; kilku od 25—30. Opłata, jak w hotelu, zależnie od pokoju od 175—650 dolarów rocznie, przy jednakowem utrzymaniu i nauce; meble w pokojach należą przeważnie do uczniów. Kilku wychowańców zarabia sobie na utrzymanie nadzorem w bibliotece, sprzątaniem sal szkolnych i t. d. Jako dowód ducha demokratycznego podnieść należy fakt, że jeden właśnie z zarobkujących został obrany na najwyższy urząd monitora szkolnego, uczniowie bowiem posiadają pewien samorząd w zakresie pilnowania porządku w szkole. Niektórzy chłopcy sami robią sobie meble w warsztatach, w których praca jest obowiązkiem dla wszystkich. Kurs czteroletni. Uczniowie ostatniej klasy mają prawo pracować więcej w domu lub w laboratoryach, a na wykłady nie uczęszczać; władza cofa im to pozwolenie, jeżeli okaże się, że w domu nie pracują. Ogromne instalacye do wszelkich gier sportowych.

*

* *

Clark University w Worcesterze zostało założone przez milionera Clarka i dlatego nosi jego nazwisko. Zarządza nim komitet z kilkunastu wybitnych osób (trustees), powołanych przez założyciela na podstawie osobno ułożonej ustawy. Na czele uniwersytetu stoi prezydent Stanley Hall, znakomity

uczony; zakres władzy prezydenta jest większy, niż rektora w Europie. Uniwersytet posiada tylko wydział filozoficzny z dwiema zwykłemi sekcyami, historyczno-literacką i przyrodniczą, do których należy dwanaście departamentów, reprezentujących nauki specyalne. Kształci się tu od 150 — 200 studentów, w tej liczbie kilkanaście kobiet.

Psychologię wykłada Stanley Hall: pod jego przewodnictwem zwiedzaliśmy laboratorym psychologiczne, najciekawsze w uniwersytecie tutejszym.

Pełno tu różnych dziwnych przyrządów. Te, które mają na celu badanie długości czasu uświadamiania wrażeń oparte są na bardzo szybkich mechanizmach zegarowych. Oto przykład. Zaostrzony szpikulec uderza w palec i w tejże chwili staje jeden mechanizm zegarowy, a rusza drugi; kiedy osobnik, poddawany doświadczeniu, zaopatrzony w specyalną pokrywę na usta wydaje okrzyk bólu, staje drugi mechanizm. Różnica w czasie, setne lub tysiączne części sekundy, określa czas uświadomienia w mózgu uczucia bólu.

Badanie intensywności pracy mózgu oparte jest na znanej zasadzie przypływu krwi do mózgu w chwili pracy. Człowiek badany kładzie się na platformie, która jest zarazem bardzo czułą wagą i znajduje się w danej chwili w równowadze. Zadają mu następnie względnie dość trudne zadanie arytmetyczne pamięciowe. Zaczyna myśleć i platforma powoli pochyla się na stronę głowy, bo przypływ krwi do mózgu powiększa jej wagę. Osobna podziałka pozwala dokładnie wymierzyć, ile krwi przypłynęło. Oczywiście, jeżeli na platformę położymy

człowieka, wprawnego w liczenie pamięciowe, przypływ krwi będzie nieznaczny, albo go nie będzie wcale.

Nie mogę opisywać wszystkich przyrządów do badania poczucia kolorów, zmęczenia, przyzwyczajenia do bólu i t. d. Niech powyższe przykłady wystarczą, dodać bowiem trzeba jeszcze parę z psychologii zwierząt.

Do wielkiej wanny wpuszczono szczupaki i płotki; pierwsze usilnie zjadają drugie. Ale przedzielono je płytą szklaną. Szczupaki chcą się rzucać na płotki, ale za każdym razem uderzają się o szkła. Trwa to przez kilka dni, poczem przestają się rzucać. Po dziesięciu dniach zdjęto płytę szklaną; szczupaki zgodnie żyją z płotkami, odzwyczaiły się bowiem je pożerać. To samo doświadczenie ma być powtórzone z małemi aligatorami, które przeraźliwie ryczą obok w olbrzymiem naczyniu szklanem, pełnem piasku i wody. Co do tych drapieżników jednak pozwalam sobie wątpić o odzwyczajeniu...

Jak myślicie, czytelnicy? Czy taki przyrząd nie przydałby się i w społeczeństwach ludzkich i czy ludzie nie nasuwają więcej wątpliwości, niż względnie poczciwe szczupaki?

...Małpy w klatce poruszyły się żywo. Zaleciał je zapach słodkiego ryżu, za którym przepadają. Otwarto drzwi klatek, ale ryż zamknięty jest w naczyniu na pięć zamknięć (skobli, klamek, zasuwek), które trzeba otworzyć w pewnym kolejnym porządku, aby się dostać do przysmaku. Zmyślne zwierzęta próbują wszystkich zamków; czasem dzień minie, nim zagadkę rozwiążą, ale gdy już posiądą

tajemnicę pięciu zamków, dostaną się zawsze do ryżu natychmiast i bez błędu. Zapamiętały sposób. Potem im dają zadania trudniejsze, które jednak rozwiązują łatwiej: posiadły metodę...

...Do drucianego labiryntu bez Aryadny wpuszczają ptaka; w ostatniej przegrodzie nęci go widokiem i zapachem pożywienie. Niema wypadku, aby nie odnalazł drogi prędzej lub później; pokazywano nam szpaka, który zadanie bardzo trudne dla nas, postawionych w łatwiejszych, bo zewnętrznych warunkach, rozwiązał w ciągu kilkunastu minut...

I tak dalej, i tak dalej, mógłbym przykłady ciągnąć bez końca. Ale kończyć trzeba: niech te parę faktów da pojęcie czytelnikom o niezmiernie zajmujących badaniach z dziedziny psychologii.

ROZDZIAŁ X.

Jeszcze o szkolnictwie.

Stanley Hall o szkolnictwie amerykańskiem.—Znakomity pedagog krytykuje system szkolny amerykański.—Młodzież zamało umie i zamało pracuje naukowo.—Kult dolara.—Stanley Hall uważa koedukacyę za szkodliwą. — Kongres pedagogiczny w Bostonie.

Daleko od środka miasta, w oddali od zgiełku handlowego i dymu kominów, przy alei obsadzonej staremi drzewami, wśród wielkich trawników i krzewów, obrał sobie siedzibę uniwersytet Clarka. Kilka czerwonych murowanych budynków mieści laboratorya, bibliotekę i sale wykładowe, kilka oko-

licznych gustownych drewnianych „cottage'ów" — mieszkania profesorów. W największej i najładniejszej willi przyjmuje nas Stanley Hall.

Przyjmuje nas z prostotą i serdecznością prawdziwego uczonego i zacnego człowieka. Służy nam objaśnieniami, potrzebnemi książkami i broszurami których zabieramy mu sporo. I nie żałuje drogiego czasu; a kiedy mu dziękujemy, odpowiada,że w osobach naszych pragnie wywzajemnić się za liczne usługi, których sam doznał w Europie.

Nazwisko Stanley Halla znane jest i u nas. Niektóre rozdziały znakomitego jego dzieła „Adolescence" (psychologia dorastającej młodzieży) były drukowane w *Przeglądzie Pedagogicznym* i potem wyszły w osobnej książeczce w *Bibliotece dla Wszystkich*, wydawanej przez Arcta. Prócz kapitalnego swego dzieła „Adolescencing psychology,... N. Y. 1904". Młodzież dorastająca. Jej psychologia w związku z antropologią, socyologią i t. d.), wydał jeszcze studya o „Strachu", o „Gniewie", o obyczajach studenckich, wreszcie ciekawą pracę „Małżeństwo i płodność, w stosunku do poprzednich studyów kobiet w kolegiach". Wszystkie prace jego zapełniają kilka półek w bibliotece uniwersyteckiej. Prócz tego znajduje czas na redagowanie kwartalnika „Pedagogical Seminary" i miesięcznika „The American Journal of religions psychology and education". Stanley Hall jest wielką powagą naukową w sprawie psychologii dzieci.

Jest to starzec przeszło sześćdziesięcioletni z pełnym siwym zarostem, o oczach łagodnych i przenikliwych. Mówi wolno (rozmawiamy po niemiecku), szu-

kając wyrażeń, nie bez humoru i pobłażliwej ironii. Siedzimy w gabinecie i przy biurku literalnie zawalonem książkami, broszurami i papierami; ledwie mamy gdzie przysiąść, a ja na czem oprzeć notatnik.

Po paru słowach wstępu przystępuję do głównego tematu: jakie rezultaty daje system szkolny amerykański w porównaniu z europejskim.

— Niestety, muszę panu powiedzieć, że gorsze. Zacznijmy od szkół najniższych, publicznych. Wchodzi do nich dziecko, przeważnie imigranta — (w r. z. mieliśmy półtora miliona przybyszów z za Oceanu) nie umiejące po angielsku; największy wysiłek poświęcony być musi na wyuczenie go jako tako tego języka, zanim pójdzie dalej. To nasz materyał. A teraz personel nauczycielski, licho płatny i źle przygotowany; zaledwie 25% naszych nauczycieli i nauczycielek ma wykształcenie fachowe. Skutkiem złego wynagrodzenia wśród personelu nauczycielskiego przeważają kobiety.

— A czy to jest złe, zdaniem pana profesora?

— Bezwarunkowo. Najpierw dają się kobiety zbytnio powodować uczuciem, są zbyt mało wymagające, niezbyt ściśle przestrzegają przepisy. Następnie wiele z nich, kiedy się już wyrobi na jakie takie nauczycielki, wychodzi za mąż, a prawie we wszystkich stanach muszą wtedy usunąć się z zajmowanych posad. Nie dbają też o zajęcie, płatne naogół bardzo źle.

— Mówiono nam w Nowym Jorku, że, wobec wielkiej powagi, jaką się cieszy kobieta w Amery-

ce, nauczycielki dają sobie lepiej radę z poskramianiem rozhukanych chłopców...

— Nic o tem nie słyszałem. Ale być może, że to jest także jeden z czynników nominacyi kobiet na nauczycielki. Być może...

— Zdawało nam się, że wykład języków postawiony jest w szkołach średnich niezbyt praktycznie; dzieci nie władają obcemi językami. Czy to spostrzeżenie jest słuszne?

— Zupełnie. Dzieci nie znają języków i zawiele się uczą, dlatego, że nasi nauczyciele są zbyt leniwi; łatwiej jest zadawać dziecku „stąd dotąd", niż uczyć je w samej szkole. Ach, te nieszczęsne słówka! W high schools wiele dzieci uczy się łaciny tylko po to, aby módz później popisywać się kilkoma pozostałemi w głowie słówkami.

— A uniwersytety, politechniki?

— I te naogół są gorsze od europejskich. Zło tkwi w naszej zależności naukowej od Europy. Najlepsi nasi profesorowie kształcili się w Europie; najlepsi uczniowie po ukończeniu tutaj wszystkich nauk wyjeżdżają jeszcze za ocean, na starym lądzie dokonywane są wszystkie wielkie odkrycia naukowe. Tam jest ognisko i naszej nauki. A dzieje się tak dlatego, że u nas ludzie zbyt mało kształcą się i pracują naukowo...

— Czemu to przypisać należy? Czy nie temu, że praca ta zbyt mało się opłaca?

— Niestety tak. Jesteśmy zbyt zmateryalizowani, zawiele myślimy o pieniądzach. Niema też prawdziwej wolności akademickiej. Bywały wypadki, że profesorowie musieli się usunąć z powodu

zbyt ostrej krytyki trustów. I co do traktowania spraw natury religijnej mamy zbyt mało swobody. Ale jest postęp wogóle we wszystkich kierunkach. Zwrot opinii przeciwko trustom, przeciwko geszefciarstwu w polityce jest jednym z objawów reakcyi przeciwko kultowi dolara. A ten ruch się wzmaga.

— Ale przecież pan prezydent widzi i przewagę szkolnictwa amerykańskiego nad europejskiem w pewnych kierunkach?

— Zapewne. U nas są przedewszystkiem daleko lepiej urządzone i rozwinięte ogródki freblowskie i jest ich znacznie więcej. Dalej mamy lepsze budowle, o wiele lepsze urządzenia hygieniczne, czasem większe laboratorya i biblioteki. Z uniwersytetu młodzieniec nasz wychodzi lepiej przygotowany do życia publicznego; większość uniwersytetów lepiej uwzględnia sprawy i nauki polityczne, sztukę rządzenia, oczywiście w oderwaniu od aktualnych walk stronnictw. Reasumując to, co powiedziałem, mamy pewnie parę najlepszych zakładów naukowych na świecie, ale mamy też dużo i najgorszych.

Temat był wyczerpany. Przeszliśmy do drugiego. Większość, prawie wszystkie szkoły w Stanach są koedukacyjne na wszystkich stopniach wykształcenia. Ciekawą było rzeczą, jak znakomity pedagog zapatruje się na sprawę koedukacyi.

— Moje przekonanie osobiste jest przeciwne koedukacyi—odpowiada profesor na moje pytanie.— Ale ma ona u nas bardzo wielu zwolenników przedewszystkiem dlatego, że utrzymywanie wspólnych szkół dla chłopców i dziewcząt wypada o wiele taniej.

— Jakie są powody takiego zapatrywania pena prezydenta?

— Przedewszystkiem muszę się zastrzedz, że wspólne wychowanie chłopców i dziewcząt do lat jedenastu uważam za dobre; tak samo nie mam nic przeciwko temu, aby kobiety już dojrzałe i poważne pracowały w uniwersytecie razem z mężczyznami. Moje zarzuty stosują się głównie do okresu dojrzewania i pierwszej młodości. Jakkolwiek nie ma u nas skandalów, to przecież chłopcy i dziewczęta zbyt wiele zajmują się sobą, zbyt wiele na to czasu tracą. A tracą na tem też moralnie przedewszystkiem chłopcy, bo przy równym wieku dziewczęta są daleko bardziej doświadczone i bardziej świadome siebie i swoich uczuć.

...Następnie, postępy w naukach idą nierównomiernie. Dziewczęta są zręczniejsze do prac laboratoryjnych, do nauk pamięciowych, ale ustępują stanowczo chłopcom tam, gdzie chodzi o rozumowanie samodzielne. Przytem w okresie dojrzewenia fizycznego dziewczęta zużywają masę energii na przebycie tego procesu, co musi się odbić na ich postępach w naukach, opóźnić je. Czasem przez to opóźniają postępy całej klasy, a więc i swoich kolegów-chłopców.

— A praca kobiet w kolegjach, uniwersytetach...

— Niewielkie daje rezultaty. Kobiety są tam dopuszczane zależnie od woli fundatorów i od ustawy uniwersytetu, jeżeli chodzi o zakłady prywatne. U nas miewamy po kilka i kilkanaście kobiet: przez siedemnaście lat żadna nie zrobiła doktoratu, a je-

dna tylko czyniła postępy tak znaczne, że została stypendystką. Nie lubią się specyalizować: coraz to zmieniają przedmiot studyów; uczy się nauk przyrodniczych, a chce się uczyć literatury, lub odwrotnie, i to ciągle...

...Zebrałem obfity materyał statystyczny z wielu kolegjów i uniwersytetów. Połowa byłych studentek wyszła za mąż, z tych jedna trzecia nie ma dzieci, czyli źle odpowiada swemu powołaniu. Reszta niczem się nie zaznaczyła ani w wychowaniu, ani w nauce, ani w niczem. Więc pocóż się uczyły?

Rozmowa była właściwie skończona. Zeszła potem na inne tory i okazało się, że mamy wspólnych znajomych, moich dawnych profesorów w Szwajcaryi; potem musieliśmy opowiadać o naszych stosunkach, zwłaszcza o strejku dzieci w Poznańskiem, który żywe tu budzi zainteresowanie. Szanowny profesor pokazał nam świeży numer dziennika z listem Sienkiewicza, który zrobił na nim duże wrażenie. Czytaliśmy i komentowaliśmy go razem... I po kilkugodzinnej rozmowie pożegnaliśmy się do widzenia na kongresie pedagogicznym w Bostonie.

*

* *

Rozmowa powyższa nasuwa mi parę uwag. Koedukacya w Ameryce jest faktem, a nie dążeniem. Jakkolwiek zdaniem Stanley Halla doszła już do najwyższego rozwoju, od którego już cofać się zacznie, to jednak dziś panuje tu wszechwładnie. Pozwolę sobie zaznaczyć, że na zasadzie dotychczaso-

wej obserwacyi przychylam się do zdania znakomitego uczonego i pedagoga. O koedukacyi i prawach kobiet pisałem już na innem miejscu, pisałem chętnie i sympatycznie, bo chodziło o Finlandyę, gdzie widziałem kobiety poważne, wykształcone, zasłużone dla swego kraju. Ale tutejsze wyfiokowane lalki, obsypane taniemi i drogiemi klejnotami, myślące o wstążce, możliwie najdziwaczniejszym kapeluszu, strzelające oczami, posiadające nietylko prawa, ale i przywileje, nie wydają mi się ani pomyślnym rezultatem koedukacyi, ani poważnym materyałem na obywatelki kraju. Mówię tu oczywiście o kobietach z t. zw. inteligencyi, bo ciężko pracujących niewiast ze sfery robotniczej nie obchodzą nic zgoła sprawy teoretyczne.

Sprawa koedukacyi jest zbyt ważna, aby ją rozwiązywać szematycznie dla wszystkich krajów i narodów.

*

* *

Brak mi czasu i miejsca na obszerny opis kongresu pedagogicznego w Bostonie. Muszę się z konieczności ograniczyć krótką kronikarską notatką.

Kongres był poświęcony społecznemu wychowaniu młodzieży; urządzały go liczne stowarzyszenia pedagogiczne amerykańskie, ale przeważnie ze stanów wschodnich, z t. z. „Nowej Anglii", kolebki i najgorliwszej dziś krzewicielki kultury angielsko-amerykańskiej. Uczestniczyło w nim także kilku anglików, między nimi znany i u nas p. Reed-

die, dyrektor szkoły w Abbotsholme, oraz ks. Gralewski, którego ogłoszony referat o „politykowaniu w szkole" nie został wygłoszony jedynie z powodu nieporozumienia telefonicznego co do oznaczenia dnia i godziny; ks. rektor był też zaproszony do prezydyum zjazdu.

Jak na każdym kongresie, tak i tu, prace prowadzone były na zebraniach pełnych i w sekcyach. Na pierwszem posiedzeniu plenarnem witali zebranych gubernator i major miasta Bostonu, poczem wygłoszony został referat o „młodzieńcu amerykańskim wobec żądań dwudziestego stulecia". Nazwiska referentów pomijam, bo nic one nie powiedzą; sporo między nimi rektorów różnych uniwersytetów i innych dygnitarzy. Dalsze posiedzenia wypełniły referaty „o samorządzie uczni i studentów w szkołach niższych i wyższych", „o współdziałaniu społeczeństwa w wykształceniu dodatkowem", „o stosunku szkoły do domu", „o znaczeniu społecznem rodziny", „o podniesieniu wykształcenia zawodowego" i t. d. Największe znaczenie miał referat prof. Stanley Halla o rozwoju świadomości wśród młodzieży w stosunku do jej warunków zdrowotnych (właściwie w dosłownem znaczeniu „zdrowia" (health); chodziło tu o zestawienie rozwoju fizycznego z duchowym i zachowanie ich równomierności tak, aby przedwczesny rozwój ducha nie szkodził ciału).

Na posiedzeniach sekcyjnych nie bywaliśmy; zajmowały się one sprawami bardziej specyalnemi, choć niemniej zajmującemi, jak np. rolą bibliotek w wychowaniu społecznem (notuję w przelocie ciekawy tytuł referatu „biblioteka, jako czynnik zachowawczy w społeczeństwie"), wychowaniem specyal-

nem dzieci niespokojnych, kwestyami hygieny szkolnej, wykształcenia handlowego i zawodowego, wreszcie pieczą nad dziećmi drobnemi we wczesnem dzieciństwie.

Na zakończenie parę uwag zewnętrznych.

Amerykanie są urodzonymi mówcami: mówią śmiało, swobodnie, ze swadą, łączą umiejętnie humor i patos. I to bez różnicy płci: przemawiało wiele kobiet, bodaj że lepiej, a w każdym razie równie dobrze, jak mężczyźni.

Wśród audytoryum przeważały kobiety: publiczność na posiedzenia spóźniała się przeciętnie o pół godziny. Prawie, jak u nas...

Posiedzenia odbywały się w dużej świątyni baptystów, bardzo potężnej sekty protestanckiej, której cechę szczególną stanowi udzielanie chrztu przez zanurzanie całego osobnika. Olbrzymia sala, ze wspaniałymi organami w głębi, niczem zresztą nie przypominała świątyni.

Dyskusyi i uchwał nie było; odczytywano tylko kolejno referaty. Widocznie celem kongresu było tylko pouczanie; uchwały byłyby zobowiązaniem ludzi zapewne najróżnorodniejszych przekonań.

ROZDZIAŁ XI.

Tolerancya. — Kwestya murzyńska.

Ameryka nie zaimponowała mi bynajmniej tak, jak się tego spodziewałem. Ale kiedy myślę o tem, co chciałbym przenieść stąd do „starego kraju“, przed oczami memi stają tysiące wspaniałych gma-

chów, szkół różnego typu, rozmaitych kursów dla analfabetów, dla dorosłych, którzy przeszli już szkoły, kursów uniwersyteckich dla pracujących we dnie, dzięki którym faktycznie w Ameryce dla każdego chcącego pracować otwarta jest karyera zawodów wyzwolonych, takie urządzenia biblioteczne, jak w Bostonie i wiele, wiele innych instytucyi oświatowych. To wszystko zaimponowało mi istotnie. Trzeba przyznać społeczeństwu tutejszemu, że rozumie znaczenie oświaty, jak żadne społeczeństwo w Europie, że nie żałuje na nią ani pieniędzy, ani usiłowań. A w usiłowaniach tych rywalizują ze sobą miasta, stany, osoby prywatne, kongregacye i stowarzyszenia religijne.

Rywalizują bez zawiści i bez nienawiści. Bo drugą cnotą tutejszą, którą podnieść należy, jest bezmierna i absolutna tolerancya. Zwiedzaliśmy szkoły różne: żydowskie, urzędowe i prywatne, katolickie i sekciarskie, wyznaniowe i bezwyznaniowe. Nie zdarzyło nam się nigdy usłyszeć wyrazu przekąsu czy niechęci. Przeciwnie: wybitne zalety szkoły były zawsze uznane i uszanowane: katolik głęboko wierzący, przyjaciel biskupa, wskazał nam szkołę żydowsko-bezwyznaniową, jako wartą obejrzenia, żyd posłał nas do katolickiej Protectory, prywatny przedsiębiorca zachwycał się niektóremi szkołami urzędowemi, anglikanin zachwalał szkołę baptystów itd. Bo wszyscy ci ludzie mieli wspólną cześć dla nauki i pytali tylko, czy chcemy widzieć szkoły dobre.

To samo spotkaliśmy i na polu dobroczynności publicznej; gorący katolik, senator Fox, pochwalił z uznaniem zasługi żydów w dziedzinie filantro-

pijnej; żaden wogóle przytułek, szpital czy ochrona, założone za fundusze wyznaniowe, nie czyni wyznaniowych różnic przy przyjmowaniu. Toż samo wreszcie i na polu narodowościowem: niema kłótni i zajść, a tam, gdzie byłoby o nie najłatwiej, w kościele, unika się ich przez tworzenie parafii narodowościowych.

Pewien dowcipny spostrzegacz życia amerykańskiego charakteryzował je tak: kiedy wychodżcy amerykańscy wyrżnęli już wszystkich lub prawie wszystkich tubylców i zaczęli się wyrzynać pomiędzy sobą, widząc, że temu końca nie będzie, wymyślili tolerancyę, czyli dali sobie wzajemnie pokój. Amerykanie, którym powyższe pochodzenie tolerancyi opowiadano, przyjmowali je uśmiechem. Według moich spostrzeżeń, niewątpliwie znajduje się tu znaczna część prawdy.

Faktem jest jednak, że tolerancya wszelkiego rodzaju, jeżeli nie dosięga ideału, jest niewątpliwie większa, niż u nas, w starej Europie. Żyje tu obok siebie mniej więcej kilka dziesiątków wyznań, kilkanaście narodów, kilka ras, walki polityczne są bardzo ostre, pomimo to mało znać nienawiści pomiędzy ludźmi. Przeciwnie, jak mówiłem, często u przeciwników znajdziecie ocenę jak najsprawiedliwszą.

Główne przyczyny tego faktu są w liczbie dwóch: jedna — geograficzna, druga — historyczno-socyologiczna. W Stanach Zjednoczonych jest dużo miejsca i dużo ludzi; wszelkie walki: wyznaniowe, narodowościowe, czy polityczne, rozgrywają się na wielkich terytoryach i obejmują wielkie masy. Wal-

ka, zataczająca szerokie bardzo kręgi, z konieczności traci na ostrości. Niema po co tak dalece kłócić się, jeżeli miejsca i ludzi wystarczy dla wszystkich; większość bowiem, jak wszędzie, zachowuje się względem wszystkich spraw, za wyłączeniem zarobkowych, biernie, obojętnie, i jest do zdobycia dla wszystkich różnorodnych prądów.

Tradycye historyczne, podstawa wszystkich naprawdę wielkich kultur, posiadają jedną złą stronę: niosą z sobą posiew waśni i nienawiści, których korzenie tkwią nieraz w przeszłości bardzo oddalonej. Nienawidzimy pewne narody, czy pewne wyznania, czasem pewne nawet partye polityczne niejako dziedzicznie, żywiołowo, bez udziału woli naszej. Uczucia nasze względem bliźnich, nie do narodu, wyznania czy partyi należących, są w znacznej mierze nieświadomem nawarstwieniem, skupieniem uczuć przodków naszych. Tych czynników w Ameryce niema i być nie może; wychodźca z Europy przywozi z sobą swoje nienawiści miejscowe, ale w stopniu słabszym, chociażby dlatego, że „w starym kraju" należał do warstw kulturalnie niższych, czyli takich, które mniejszy udział brały w tworzeniu historyi jego narodu, a więc miały też mniej silne uczucia dziedziczne. Ale nawet i te przywiezione z Europy przeżytki ścierają się, gładzą bardzo prędko, najpierw pod wpływem wytężonych jedynie na zarobek wszystkich władz ducha, a następnie pod wpływem nowej formy współżycia, w której nie istnieje właściwie ani kwestya wyznaniowa, ani kwestya narodowościowa. Nienawiści miejscowych, opartych na gruncie historycznym, prócz antagonizmu Północy i Południa, o czem będzie mowa niżej, nie-

stya murzyńska mogą być tylko porównywane, i tylko bardzo zdaleka. Życie wysuwa je w sposób zupełnie odrębny.

Kwestya murzyńska jest w Stanach Zjednoczonych kwestyą historyczną; była przedmiotem wojny bezprzykładnie krwawej, która między Północą a Południem wykopała głęboką przepaść. Przez wiele lat po wojnie secesyjnej mieszkaniec Północy, zwłaszcza urzędnik, nie mógł pokazać się na Południu pod grozą śmierci z ręki skrytobójcy. Trzeba było wzrostu całego nowego pokolenia, by dawne rany zabliźnić, a i dziś jeszcze istniejący antagonizm wyraża się w tem, że wszyscy Biali z Południa głosują zawsze na listę demokratyczną, a wszyscy Czarni na listę republikańską. Bo Abraham Lincoln był republikaninem.

Epigoni bohaterskich ojców z wojny secesyjnej zadają sobie dziś jednak pełne sceptycyzmu pytanie: czy cel uświęcił morza krwi przelanej, czy zupełne i natychmiastowe nadanie praw obywatelskich Murzynom usprawiedliwiło w następstwach straszną, dziką walkę bratobójczą białych? Podstawę do tego sceptycyzmu daje fakt, że po czterdziestoletniem korzystaniu z praw obywatelskich, możności uczęszczania do szkół wszystkich stopni i do uniwersytetów, Murzyni nie wnieśli do dorobku kulturalnego społeczeństwa amerykańskiego nic, ale to nic zgoła. Nie wnieśli też nic do dorobku ekonomicznego — nie zbogacają się, a to w Ameryce byłoby wielkim argumentem na ich korzyść; nie wywierają wreszcie żadnego bezpośredniego wpływu w polityce. Słowem, zdaniem Amerykanów, jest to rasa, niezdolna do przyjęcia cywilizacyi w tej for-

mie, jak ją pojmuje człowiek biały, zwłaszcza w Stanach, w formie pracy wytężonej, walki o byt, zwycięstwa żywiołu silniejszego.

Właściwości psychiczne Anglosasa, który nadaje swe piętno całej kulturze połnocno-amerykańskiej, i Murzyna — są absolutnie sprzeczne. Pierwszy jest uosobieniem pracy, poczucia niezależności osobistej i chęci zysku; Murzyn jest leniwy, zadawala się małem, o zyski dba mało, zachował przytem w charakterze wiele reminiscencyi dawnego stanu niewolniczego. Przyczyną niechęci do Murzynów po wsiach stanów południowych jest w znacznym stopniu przeciwstawność ciężkiej, gorączkowej pracy na ziemiach Białych, gdzie wiecznie brak robotnika, z pełnem kwietyzmu życiem Murzyna na jego małej działce; woli on wygrzewać się cały dzień na słońcu i żyć skąpo owocami swej palmy, lub innymi płodami, które żadnej pracy nie wymagają, niż iść nawet do bardzo wysoko płatnej roboty na ziemi białego sąsiada. Amerykanin, zrodzony w Ameryce, gardzi zajęciami t. zw. lekkiemi, ale pociągającemi za sobą częściową utratę niezależności osobistej, obniżenie poczucia godności, jak wszelkie rodzaje służby osobistej i innej. Funkcye służących w wagonach, restauracyach, w kuchniach, zajęcia posłańców, woźniców, pełnione są na całem terytoryum Stanów przeważnie (niektóre wyłącznie) przez Murzynów (rzadziej przez świeżo przybyłych immigrantów). Pogarda, przywiązywana do zajęć, spada oczywiście na ich wykonawców, zwłaszcza, że to są dawni niewolnicy. Ale największe, żywiołowe wybuchy oburzenia wywołuje nieobyczajność Murzynów, zwłaszcza gwałty, dokonywane na kobietach

białych: jest to zawsze przyczyną owych sądów doraźnych (prawo Lyncha), które tak nas oburzają w Europie. Trzeba znać obyczajność przeciętnego Anglosasa, trzeba zrozumieć tę głęboko zakorzenioną w ich duszy cześć kobiety, aby wydawać sąd o tego rodzaju pierwotnych objawach gniewu, występujących zresztą najczęściej w okolicach na pół dzikich, które może bez tego hamulca, bez groźby strasznej kary, byłyby teatrem najokropniejszego rozpasania.

Murzyni są obywatelsko i politycznie równouprawnieni w całych Stanach Zjednoczonych, obyczajowo zaś tylko w północnych, i to z wielkiemi zastrzeżeniami. Nie mają wprawdzie obowiązkowo osobnych szkół, osobnych lokalów zebrań, osobnych przedziałów na kolejach (na Południu, gdzie bywają Biali, tam im zupełnie bywać nie wolno), ale towarzyskich stosunków między Białymi i Czarnymi niema nawet na tolerancyjnej Północy i w żadnej sferze społeczeństwa; trzeba tu uwzględnić zresztą różnicę poziomu kultury. Powiedziećby można, że pogarda w formie spokojnej, którą żywią dla Murzynów Biali z Północy, przybiera na Południu kaztałty ostre i przeradza się w nienawiść. A uczucia te dotyczą nietylko Murzynów, ale i wszystkich ludzi kolorowych, pochodzących z małżeństw, najczęściej z nieprawych związków mieszanych, mulatów (pół krwi), kwarteronów (ćwierć), oktawonów (ósma część).

Podawanie różnych sposobów rozwiązania kwestyi murzyńskiej przekroczyłoby ramy niniejszego szkicu i byłoby niepotrzebne. Kwestya jest nie do rozwiązania. Od ludzi, jeszcze pełnych wiary w przy-

szłe dobre skutki równouprawnienia, aż do zwolenników masowego wywiezienia Murzynów z Ameryki Północnej, mamy tam wszystkie skale poglądów. A przyszłość przedstawia się pod znakiem dalszego niezgodnego i nieszczęśliwego współżycia, przerywanego od czasu do czasu strasznymi wybuchami nienawiści.

Możnaby jeszcze pobieżnie zanotować sprawę japońską w S anFrancisko, jako dowód przeciw rozgłośnej tolerancyi amerykańskiej. Ale i tych kilku spostrzeżeń wystarczy, aby stwierdzić, że tolerancyę rozbija czynnik ekonomiczny i czynnik niechęci do wszelkich obcych zrzeszeń, które wbijają się klinem w obyczajowo, jeżeli nie rasowo, jednolite społeczeństwo amerykańskie. Im bardziej będzie się wzmagała ta jednolitość, a z nią i dążności unitarne, tem szczerba w tolerancyi będzie szersza i głębsza. Rzecz ciekawa, że szczerba ta tworzy się wyłącznie od strony rasowo-narodowościowej; tolerancya wyznaniowa pozostaje zawsze nietknięta.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Spis rzeczy.